

**BIBLIOTEKA NOWOŚCI
W WARSZAWIE**

**REDAKTOR I WYDAWCA
STANISŁAW CUKROWSKI**

ANNA ZAHORSKA



MEYN NAD SŁEGIREM

WYDAWCA · S. I. CUKROWSKI ·
BIBLIOTEKA · NOWOŚCI · W · WARSZAWIE

Cena zł.1.50.

MŁYN
NAD
SŁGIREM

BIBLIOTEKA NOWOŚCI w WARSZAWIE.

Redakcja i Administracja

ulica Senatorska 29.

Konto w P. K. O. 13.355. Tel. 275-03.

Prenumerata z przesyłką pocztową wynosi:

Kwartalnie (13 tomów) . 11 zł.

Półrocznie (26 „) . 21 zł.

Książka wychodzi w każdą sobotę.

Nr. 78.

Redaktor i wydawca: **Stanisław Cukrowski.**

ANNA ZAHORSKA

MŁYN
NAD
SALGIREM

POWIEŚĆ

BIBLIOTEKA NOWOŚCI w WARSZAWIE
Wydawca: **Stanisław Cukrowski.**

D-36/01.03.22.

Okladkę projektował art. mal.
HENRYK NOWINA-CZERNY.



Wszelkie prawa autorskie zastrzeżone.

Zakł. Graf, Pracowników Drukarskich,
Warszawa, N.-Świat 54, tel. 15-56 i 242-40.

I.

Pułkownik Niementowicz wyciągnął się na leżaku i poprawił czapkę na głowie, zasłaniając się od promienia, który przedarł się przez liście, położył smugę na bliźnie jego lewego policzka i wywołał tańczące plamy na trawniku.

Ścigał oczami panów w pyjamach i panie w lekkich strojach i pantofelkach z rafji, wracających z kąpieli słonecznych. Zaczynał się ranny ruch w sanatorium. Rozkładano leżaki na balkonach, ozdobionych pasami czerwono kwitnących begonji w zielonych skrzynkach.

Pułkownik oderwał oczy od plam, tańczących na trawniku i zwrócił się do swego sąsiada na leżaku, przyjemnego, szpakowatego pana w białym ubraniu.

— Antek, Polska — co? Inne powietrze, Europa, kultura. Żyje się dla kraju, przy każdej rekonstrukcji gabinetu lub posunięciu na terenie dyplomacji międzynarodowej bije serce — co? Jak idzie pułk ułanów, podrywa się coś w człowieku — ni to atawisty-

czne skrzydła husarii? Żyje dusza. Nie tak my w Rosji — co?

Inżynier S. podniósł na pułkownika oczy z uważnym spojrzeniem. Oczy te błysnęły jak smuga niebieska. Uchowane na obczyznach niezaprzeczenie polskie oczy...

— Wiesz, kiedy patrzę na cały ten mój pobyt w Prodamecie, w Zagłębiu Donieckim, na całą beztreściwość tamtego życia, które było życiem karjerowicza, bez najmniejszej nuty społecznej (bo w jaki sposób mógłbym zbawiać muzyków albo niemieckich i belgijskich obieżyświatów!), odczuwam taki niesmak! Wyciąłbym chętnie ten cały okres życia z pamięci, jak chory zwój mózgu!

— I ja byłbym innym człowiekiem, gdybym nie wyjeżdżał z Polski. Cóż, konieczność ekonomiczna! Nie dawano rozbudowywać polskiego przemysłu, musiała gdzieś znaleźć zastosowanie nadprodukcja inteligencji polskiej. Jak szalenie wypacza człowieka życie w pogoni za zyskiem na obcym terenie, z którym nic go nie wiąże! Naprzykład, ten mój pobyt na Krymie...

Inżynier S. zwrócił się ku przyjacielowi z nagleśnymżywieniem.

— Nie opowiadałeś mi nigdy... Byłeś tam przecie żonaty...

— Ciężko poruszać popioły. Czuję się tak inny od mego „ja“ ówczesnego, że moje przeżycia, są dla

mnie, jak przygody z filmu dawno, dawno widziane. Byłem tam „używcem“ i groszorem w wielkim stylu, nie cofałem się przed niczem, kiedy grała we mnie namiętność.

— Ojej, co za samooskarżanie się! Odezwał się wschód—przypomniałeś sobie samoplujstwo naszych kamratów od pijatyki. Tylko oni to zaczęli po wielu butelkach jednocześnie z tłuczeniem luster: „świnią jestem, napluj mi w mordę, Boga widzę, a leżę w błocie“. Ale tak od rana...

— To nie to. Czyż nie widzisz, że jestem zdrow, jeżeli zdaje sobie sprawę z przebytej choroby?

— Więc opowiedz, co i jak. Wypluj to ze siebie, jak topielec słoną wodę.

Pułkownik zapatrzył się w zmartwychwstającą przed nim wizję przeszłości. Po chwili zaczął opowiadać.

— Osiedliłem się na Krymie, prowadząc wtedy handel zbożem. Kolonja polska w Symferopolu była niewielka. Poza paru urzędnikami akcyzy i sądownikami było tu kilku kupców i przemysłowców. Kolonja spotykała się ze sobą w kościele i na zebraniach towarzyskich. Zebrania te miały charakter podobny, jak w mieszanym środowisku kosmopolitycznym Rosjan, Tatarów, żydów, Ormian, Greków, Karaimów, Niemców, Belgów, Francuzów i t. d. jakie nas otaczało. Wino (przynajmniej, nie wódka, miasto było otoczone winnicami), karty, trochę śpiewu (zwła-

szcza cygańskich romansów, czasem przemycił ktoś „Kalinę” lub „Czemu tęsknisz za chatą?”) czasem tańce, dużo flirtu. Mało miano polskich nowości literackich, łączność z krajem była dość luźna. Wałkowano sprawy codzienne, osobiste, wiadomości miejscowe. Na politykę zagraniczną patrzono oczami jednego z większych liberalnych dzienników rosyjskich. Mowa nasiąkała obczyzną, dusze oskorupiały się i wynaradawiały.

Byłem na wieczorze u jednego bogatego kupca — Greka. Grano, jak zawsze, w hazardowną grę „stukołka”. Podczas gry zauważyłem przy sąsiednim stoliku Dorna. Grał z Karaimem, Ormianinem i oficerem — Rosjaninem. Wszyscy trzej gorączkowali się i nie umieli zachować równowagi, gdyż stawki były dość grube. Dorn, wysoki, barczysty, bardzo przystojny, zachowywał się z wielkim opanowaniem. Miał maniere prawdziwego gentlemana. Uderzyła mnie jego twarz energiczna i uczciwa. Międzynarodowe towarzystwo rekinów handlowych miało dla niego widocznie respekt. Przybywał z głębi Rosji, ale nazywano go „Feliks Kazimirowicz”. Nie zamienił widocznie swego imienia na jakiegось „Fiedora Kuźmicza” dla łatwiejszej asymilacji.

— Nie przyłączyłem się do gry i chodziłem po wielkim, zbyt kownym salonie bez gustu i stylu. Parę obrazów ze scenami z życia rzymskiego, lichy imitacje Siemiradzkiego na ścianach. Meble z szerokimi

złoceniami, obite jedwabiem o deseniach niegustownych, wielkie lustra, ciężkie brzozy i bibeloty bez artyzmu — wszystko to podnosiło obcość tego otoczenia. Na konsoli z kosztownego marmuru stał stiukowy biust Puszkina. Tylko przecudne kobierce wschodnie mówiły o jakiejś innej kulturze, zdławionej przez tandetny przemysł władców politycznych.

Weszła gospodyni, piękna i przypochlebna pani Papadato i zaprosiła do kolacji. Kiedy po kawiorach, łososiach i innych przekąskach, obficie zakrapianych konjakiem, zajęliśmy miejsca przy stole i zaczęto obnosić olbrzymiego suma, utopionego w sosie pomidorowym, poprzez gwar głosów przeważnie gardłowych i charkotliwych, jak przez gąszcz krzaków cierniowych przebił się spokojny głos Dorna, wykładającego jakąś koncepcję przemysłową. Przy stole wszyscy umilkli, słuchając z zainteresowaniem. Widocznie dla rzucenia swego projektu był w tem środowisku Dorn i dla niego znośił ze stoicyzmem tę bandę barbarji, która zatraciła obyczaj rodziimy pod niwelującym szablonem rasy zwycięskiej.

Przypadkiem spojrzałem na panią Papadato — siedziała w swej obcisłej i mocno wyciętej sukni różowej, jak zahypnotyzowana. Po lewej ręce miała księcia gruzińskiego, Gamzagurdi. Był w białej czerkiesce, podbitej niebieskim jedwabiem, obwieszony srebrem w desenie czernione. Srebrny był jego pas i kindżał przy nim i inne ozdoby. Ze swą głową nad miarę uro-

dziwą, z olbrzymiemi oczami, jak ciemne morwy, wyglądał, jak figura z feerji. Gruzini i Greczynka patrzyli na siebie. Spojrzenia te były, jak dwa kipiące gejzery, jak dwie kity erupcji wulkanicznej. Szły ku sobie w nieprzytomnem oddaniu.

Odwróciły się dopiero wtedy, gdy Papadato, nie zauważywszy tego wcale, zawołał na żonę, by kazała dać wina kachetyńskiego, na cześć gościa z Kaukazu. Widocznie dla niego również podano szaszłyk osypany zieleniną, piłam z pomidorami i potrawę tatarską — pierożki smażone z baraniną, zwane czebureki.

Po wieczery przeszliśmy znów do salonu, gdzie nie przestawano roznosić na kryształowych podstawach kawałków ananasów, melonu i kawona, pomarańczy, granatów, winogron kilku odcieni, zielonawo-żółtej szaszły z czarną Izabellą, brzoskwiń, moreli i jabłek krymskich „Synapa“.

Dorn nie siadł więcej do gry. Wyprowadził mnie na werandę willi, oplecioną glicynjami. Zapaliliśmy cygara. Prosto i lakonicznie wyłożył mi projekt połączenia swego młyna wodnego z przedsiębiorstwem handlu zbożem. Lepiej wysyłać na rynki wschodnie mąkę gotową, niż zboże. Mając zapewniony przemiał pewnej ilości zboża, tej, która, szła przez moje ręce, będzie mógł postawić maszyny parowe.

— Już parokrotnie nie zwracano się do mnie z Erzerumu i Smirny, czy nie wolę wysyłać mąki gotowej,

— powiedziałem, — zdaje się, że to jest myśl.

Tak zostałem spółnikiem Dorna.

W tej chwili do pułkownika podeszła miła felczereka w białym fartuchu.

— Pan pułkownik zapomniał o naświetlaniu, — powiedziała, grożąc mu palcem.

Pułkownik podniósł się śpiesznie. Na twarzy jego rozlała się radość, jak woda z przechylonego kryształu.

Patrzyłem na nią, gdy rozmawiali. Twarz była młoda, kobiety może dopiero trzydziestoparoletniej. Ale w kilku zmarszczkach tragicznych koło ust i powiek, w niezwykle głębokim wyrazie oczu, co, zda się, widziały wszelkie cierpienie i złe ludzkie aż do dna, poznałem istotę, która wróciła *stamtąd*. Oni wszyscy mają ten niesamowity wyraz, ci, co przeszli za życia gehennę. Mają go nawet wtedy, jeżeli ją w sobie przezwyciężyli.

II.

Po obiedzie pułkownik Niementowicz ze swym przyjacielem znów znaleźli się na leżaku. Inżynier S. poprosił o dalszy ciąg opowieści.

— Widzę znowu to miasto białych domów z zielonemi żaluzjami; — przymykając oczy, przywoływał pułkownik z mroku umarłą przeszłość, — widzę olbrzymie topole włoskie na krańcach miasta, a za nimi wzgórze, w perspektywie zrównane wysokością z topolami, chociaż w rzeczywistości wielokrotnie od nich wyższe. Widzę jasno-zielone, pierzaste akacje z kiściami słodkiego, białego i różowego kwiecia, stojące wśród ulic na południowym żarze. Czuję jeszcze zapach owoców, przejmujący, aromatyczny, rzeźwiący i słodki, unoszący się z licznych owocarni, gdzie ludzie wschodni w długich dołmanach z pasami z powagą ważą dar boży z powodu jego obfitości trzyfuntową wagą, zwaną tam „oko“. Pamiętam szczególny odcień dużych bloków żółtawego muszlowca, z którego budowano domy w tem mieście szybko rosnącym. Ach, południe! Zdaje się, że łatwiej-

szem, pełniejszym zmysłowego dosytu jest tam życie. A jednak — jak okrutną zdawała się czasem absolutna obcość tego życia, jak nadmierna roślinność, wybijająca zewsząd z niesłychaną energją wegetacyjną nie mogła zagłuszyć jednego ziarna rodzimego, przyniesionego na piersiach ze swego kraju!

Kapitał włożony przezemnie do młyna Dorna procentował się dobrze. Człowiek ten o żelaznej pracowitości, umiejętnie traktujący ludzi, pełen inicjatywy i przenikliwości, wyższy inteligencją od całego otoczenia, naprawdę umiał prowadzić interesa. Pieniądze rosły mu w rękach, jak na drożdżach. Dotąd nie poznałem jego rodziny. Młyn stał za miastem, nad Sałgirem, wybrałem się tylko raz obejrzeć nowe maszyny, kiedy żona jego kąpała się w morzu w Jalcie. Dorn zwykle wpadał na krótko do mego biura w mieście. Podczas rozmowy w moim gabinecie wyglądałem na jego zaprząg. Dwa kare, ogniste konie były niecierpliwie kopytami o asfalt, stangret, młody Tatar, piękny, jak marzenie hurysy, powstrzymywał je z trudnością. Nie mogłem oderwać oczu od czarnej jedwabnej sierści arabczyków, przez którą na kłębach przelśniewał włos brązowy, jak na prawdziwym futrze fok. Dorn widocznie kochał się w koniach.

Pewnego dnia byłem na bazarze. Oprócz wielkorozyjskiej tandety, sprzedawano tam niektóre wyroby wschodnie. Ale najwięcej było jarzyn i owoców. Pod

gęsto-szafirowem niebem ten nadmiar owoców ziemi tworzył plamy kolorystyczne. Całe wozy zielonych kawonów, żółtych melonów, ananasowych, ogromnych pomidorów krzyczały barwami. W straganach ciemno-fioletowe bakłażany, jak szkła iryzowane, piętrzyły się obok żółtych kabaczków, kukurydza wystawiała z obtulenia włókien ziarna, jak szeregi ząbków lub sznury paciorków. Ogromne łyse głowy dyni zdawały się śmiać dobrotliwie do ścielących się dokoła nich szarych karczochów. Pierzaste kity pietruszek, koprów i różnych zielenin wschodnich tworzyły wachlarzowate tła do pęków pieprzu tureckiego, którego czerwone, jakby lakierowane torebki, wydawały się zabawkami.

Wśród gwaru i zgiełku przesuwali się obok ludzi w strojach europejskich — Tatarzy, Tatarki w ozdobach srebrnych, z paznokciami pomalowanymi henną, z mnóstwem małych warkoczyków pod czapeczką akksamitną i czadrą, — zasłoną wyszywaną. Czerkiesi, Gruzini, Ormianie, Kabardyńcy, Turcy w fezach dodawali operowej dekoracyjności bazarowi. Nawet ci, co nosili się po europejsku, mieli ubrania z chłopskiej lub jasnego materiału. Na niebie zdaleka wdzięcznym pionem rysowała się wieżyczka minaretu. Przeszło kilka dostojnych dam muzułmańskich, owiniętych w biel od stóp do głowy. Tylko w szczelinie między dwiema zasłonami błyskały oczy, jak węgle. Pogoniłem za nimi. Zwinne ich ruchy dowodziły, że są mło-

de. Zawrzała we mnie niecierpliwa żądza Europejczyka: poznać kobietę z haremu...

— Panie Niementowicz, — zawołano nagle za mną.

Odwrociłem się. Przy otwartym sklepie z wyrobami wschodnimi stała pani Ewelina. Była to postać znana w kolonji i lubiona za dobry humor. Zachowywała go wśród wszystkich przewrotności losu, wśród życia burzliwego i katastrofalnego.

— Czemu pan goni wschodnie kobiety? Nie boi się pan kindżałów? — zapytała wesoło, witając się ze mną, — zna pan panią Dorn?

Odwrociłem się z ciekawością, szukając jej wzrokiem. Stała w głębi sklepu, trzymając w rękach rozpostartą czadrę. Dotąd mam w oczach haftowane arabskie zielone i brązowe, oprowadzone srebrną tasiemką. I tę głowę nad nimi o rysach niezmiernie polskich, o oczach niebieskich. Widzę plamę dużego maku na jej kapeluszu. I wstęgę światła nad czołem — drobne włoski, ogarnięte przez promień, który się przedarł przez szparę między płócienną zasłoną a ramą okna.

Pani Dorn położyła czadrę i przywitała się ze mną. Uśmiech jej rozkwitnął, jak drobny pąk jaśminu o złotem wnętrzu. Oczy ogromne, oczy, jak bławatki z polskiego żyta, spoczęły na mnie z pieszczotą. Swojskość tego spojrzenia, jak klucz, otworzyła we mnie drzwi szczelnie zatrzaśnięte. Coś się ścisnę-

ło we mnie z bólem i rozszerzyło z radością słoneczną, jak bicie dzwonów w wielkanocne rano.

Wrażenie to przytłoczyły pierwsze słowa pani Dorn. Mówiła źle po polsku. Zapraszała mnie do siebie:

— Jak pan z mężem w interesach, trzeba nam poznać się. Proszę nie ścieśniać się. Nasz dom — wasz dom. Kiedy pan namierzy się przyjechać, proszę dzwonić do nas, nie do biura, prosto do „daczy“. Przyszliśmy konie za panem.

Obiecałem z całą skwapliwością przyjechać choćby jutro. Pani Dorn wybrała jakąś czadkę i obie odeszły z panią Ewelina, pożegnawszy się ze mną. Szły przez barwny tłum. Kapelusz z czerwonym makiem to wynurzał się, to chował wśród wyższych postaci. Zobaczyłem ją jeszcze całą w jej gustownej sukni z czezcunczy, przybranej jedwabnemi koronkami, kiedy wyszła z tłumy. Konie czekały na nią. Usiadła w powozie i otworzyła ponsową jedwabną parasolkę. Twarz jej odmieniła się w świetle czerwonym, nabrała czarodziejskiej urody. Piękny Achmet zebrał lejce. Kare arabszki pomknęły, unosząc wolant.

Kupiec - Ormianin przymknął filuternie oko i mrugnął na mnie. Na chwilę zobaczyłem tylko samo białko, jakby oko zaszło bielmem.

— Krasawiec - barynia, a? — zacharkotał porozumiewawczo i podsunął mi tę samą czadkę, którą ona w rękach trzymała tak długo.

Kupiłem ją. Wróciłem do domu i kładłem moje ręce tam, gdzie były jej dłonie. Przedłużałem wrażenie dotknięcia przedziwnie atlasowego, obiecującego, któremu towarzyszyło bławatkowe spojrzenie.

Dreczyła mnie tylko myśl, że to spojrzenie pełne pieszczoty było nie dla mnie, Niementowicza, a dla spółnika jej męża.



III.

W parę dni potem stanął przed mojem mieszkaniem przepysny zaprząg Dorna. Wyświeżony, ubrany podług ostatnich wzorów paryskich z jedyną myślą podobania się pani Dorn wsiadałem do powozu, powitany życzliwem „Salam alejkium“ pięknego Achmeta, na co odpowiedziałem równie uprzejmie: „Alejkium salam“.

Konie przeleciały miasto, jak wicher. Znaleźliśmy się na drodze zamiejskiej. Po obu stronach ciągnęły się niskie płoty z białych kamieni, obrośnięte żółtą akacją i krzewem cierniowym z drobnymi kwiateczkami lila. Im dalej było od miasta, tem bardziej górzystą stawała się droga. Wreszcie na widnokręgu zamajaczył Czatyrdah, jak olbrzymi dach wysrebrzony przez dal na tle niepokalanego szafiru. Zarys góry, zarys prawidłowego trapezu zawierał w sobie płaszczyznę o nieskończenie zmiennem natężeniu światła, to jak chmura sinawa, to jak czerwonawa płachta, to jak nagle nabierająca bryłowatości budowla, polyskująca tonami czarnymi i białymi naprzemian.

Ale oto na zakręcie, wśród winnic i ogrodów ukazało się wzgórze, a na niem biała willa w wieńcu akacji. Tu mieszkała pani Dorn — Weronika Dorn, — powtarzałem z upojeniem. To imię okropnie zaściankowe i parafjalne, nagle stało się pełne piękna, muzykalności, uroku.

Zatrzymaliśmy się przed żelazną furtą ogródka. Wszedłem po schodach kamiennych, ozdobionych dwoma wazonami z agawami. Ogromna galerja oszklona biegła wzdłuż willi. Przez otwarte okna wyglądały szeregi azalji.

Tatarzynek w bawełnianem ubraniu, przepasany szafirowym pasem wybiegł na spotkanie i z ukłonami wprowadził mnie do dużego, zacienionego salonu. Było tu inaczej, niż w mieszkaniach różnoplemiennych handlarzy i przemysłowców. Zamiast bezstylowych wyrobów fabrycznych, na podłodze i na ścianach rozpostarte były perskie dywany. Wzdłuż ścian stały dwie ogromne „tachty“, niskie otomany z mnóstwem poduszek. Wschodnie stoliczki z mozaiką, wschodnie bibeloty, krzesła obite jedwabiem w arabeski, również wschodniego pochodzenia. Więc ona taka — pani Weronika o oczach szafirowych, oczach z Podlasia lub z pod Krakowa. Poszukałem, czy niema tu czegoś swojskiego.

W kącie, na miejscu niewidocznem wisiała reprodukcja obrazu historycznego Matejki. Więc jednak? Służący wytłumaczył, że „hanum“ ubiera się do

obiadu i prosi przejść tymczasem do panienek. Poprowadził mnie w stronę młyna. Dorozumiewałem się, że panienki — to zapewne córeczka Dorna i jej nieodstępna przyjaciółka, córka pani Eweliny Cetnowicz.

Młyn, wielopiętrowy budynek, patrzący niezliczonymi rzędami okien, jakby oczu, tęczących w blaskach zniżającego się słońca, huczał i trząsł się w posadach. Szedł parą, bo woda od upałów opadła w Sałgirze. Rzeka połyskiwała tuż za młynem, jak klinga wyostrzona. Stały wzdłuż brzegu topole włoskie, olbrzymie kolumny, zastygłe w parnym powietrzu. Stały, jak straż Sałgiru, który przelewał swe srebrzywo po kamieniach.

Koło młyna zieleniła się leszczyna odmienną, nie-tutejszą, niejaskrawą zielenią. Wszedłem w tunel zacieniony. W jednym tylko miejscu było okno wśród drzew. Przez nie widać było Sałgir, zebrany słuzami w toń, opadającą szerokim wodospadem na olbrzymie koło z setnych deszczulek. Ale dziś wodospad spadał cienkimi nitkami i koło stało nieruchome.

Usłyszałem młody głos, deklamujący z przejęciem:

Znasz li kraj, brzoza cieniony i sosną?

Niezapominki i chabry tam rosną...

Zatrzymałem się, słuchając. Wiersze były liche, spłodzone gdzieś na emigracji w porywie nie talentu, lecz nostalgji. Posunęłem się bliżej.

Na ławeczce siedziały dwie dziewczyny biało ubrane. Na stoliku przed nimi leżały robótki, porzucone w tej chwili. Starsza, siedemnastoletnia może, czytała z pogniecionego zeszytu. Druga, podobna bardzo do Dorna, słuchała uważnie. Pół otwarte usta wyrażały zupełny entuzjazm i nostalgiczną tęsknotę.

Spostrzegły mnie po chwili. Przedstawiłem się. Przywitwały się swobodnie. Przysunęły mi żelazne krzesło ogrodowe.

— Cieszę się, że dziś na obiedzie u nas jest Polak, — ozwała się mała Dornówna, — nie mogłabym znieść dzisiaj Moskala.

— Po tych wierszach, które panie czytały?

— O, nie tylko po tych, — wybuchnęła Marysia Centowiczówna, niech pan zobaczy tylko, cośmy odkryły! Na strychu, między niepotrzebnymi rupieciami!

Wyciągnęła rękę z poszarpaną, pożółkłą broszurką. Okładka była oddarta do połowy. Na pozostałej części ocalała reszta dedykacji drobnym wąskim, pismem, jakim pisano w połowie ubiegłego stulecia: ...nemu Adolfowi w nadziei zwycięstwa. ... 1863 roku.

Ta ostatnia nowość literacka, która jak niesłychane objawienie, poruszyła dwie małe Polki na obczyźnie, był to „Przedświt“. Nie słyszały dotąd o Kraśńskim.

Opowiedziałem im trochę o wieszczu. Przerwał mi

cichy okrzyk Leli Dorn. Patrzyła na ziemię, jak urze-
czona. Wił się tam duży czarny wąż.

Zerwałem się i uderzyłem go laską w głowę. Wy-
ciągnął się nieruchomo. Odrzuciłem go w krzaki.

— Cemu panie tu przebywają, jeżeli tu są wę-
że? — zapytałem, — w ogródku jest taka ładna grupa
akacji i platanów — tam również dość jest cienia.

— Czyż pan nie domyśla się, czemu wolimy prze-
bywać w leszczynie? — wykrzyknęła Lela.

— Nie, ani trochę.

— Bo to drzewo takie same, jak w Polsce.

A Marysia zaczęła deklamować:

— Litwo, piał mi wdzięczniej twe szumiące lasy,
Niż słowiki Bajdaru, Salhiry dziewice,
I weselszy deptałem twoje trzęsawice,
Niż rubinowe morwy, złote ananasy.

— No, chodźmy już do domu, Salhiry dziewice, —
zawołałem niecierpliwie, pożądając widoku pani Dorn.

— Cemu Mickiewicz pisał „Salhira“, kiedy to
prostu jest Sałgir po tatarsku? — rezonowała Le-
la, zbierając robótkę.

Przy furtce ogródka spotkaliśmy panią Dorn,
która szła już po nas. Doznałem znowu tak silnego
oczarowania, jak za pierwszym razem. Całą siłą woli
musałem przywołać tresurę kultury, żeby ukryć moje
uczucia.

Po Dorna posyłano parokrotnie, zanim przyszedł
z młyna. Na szarem ubraniu miał trochę mąki, którą
Lela otrzepała ze śmiechem. W tym czasie pani We-
ronika zbliżyła się do begonji w żardinierce, jakby
przypatrując się kwiatom. Stałem obok niej. Pod-
niosła na chwilę oczy i spojrzała... spojrzała tak sa-
mo, jak przy kolacji w domu Papadato patrzyła na
księcia Gamzagurdi piękna Greczynka, pani Zoe.

Usiadłem do stołu w radosnem podnieceniu. Dorn
chciał mówić o interesach, ale żona nie pozwoliła, ab-
sorbuje nas sobą. Dziewczynki wyglądały przy niej,
jak ślimaczki, które schowały różki w swych muszel-
kach.

Po obiedzie przyjechał książę Gamzagurdi, oficer
rosyjski Kasjanow, klient Dorna z Bachczysaraju,
Aładżałow. Gamzagurdi był niespokojny i wciąż wy-
glądał oknem. Wkrótce nadjechała pani Zoe z przy-
jaciółką. Piękny Gruzin promieniał.

Aładżałow, przystojny, młody Ormianin, przyzwo-
ity i dość subtelny, nie odstępował pani Weroniki.
Z przykrością słyszałem, że obecni mówią na nią
„Wiera Antonowna“. Mąż mówił na nią „Rona“, ale
że tak się nazywa Rodan po rosyjsku, i wywoływało
to żarty w towarzystwie, odzywał się do niej bez
imienia, byle nie nazwać jej z rosyjska „Wiera“.

Kasjanow roztoczył cały sztybskapitana i to
jazdy kozackiej. Brząkał, szczekał, szurzał nogami

w ukłonach, dzwonił ostrogami. I on, i Aladziałow formalnie trzymali panią Werę w obleżeniu.

Podszedłem do Dorna, który w milczeniu palił cygaro.

— Czemu pan nie wyrzuci tych błaznów albo nie nauczy ich dystansu? — rzekłem do niego z rozdrażnieniem.

Dorn wyjął z ust cygaro i popatrzył na mnie uważnie, jakby pytając: — A tobie co do tego? — Potem uśmiechnął się pobłaźliwie.

— Niech Rona się bawi. Zresztą, gdybym chciał wyrzucać za drzwi każdego, komu się moja żona podobą, ładnieby wyglądały moje interesy. Trzeba żyć z ludźmi.

I spokojnie palił dalej cygaro. Ale widocznie opanowała go potrzeba wypowiedzenia raz wreszcie dręczących myśli.

— Jabył dawno zlikwidował tutaj interesa. Proponowano mi posadę w Zagłębiu Dąbrowskiem. Stanowisko nędzarskie w porównaniu z tem, co mam tutaj. Alebym przyjął. Już zdaje mi się, że się zaduszę wśród tych winnic i róż, Czy pamięta pan krzywe wierzby nad Wisłą, która płynie cicha i szara pod szarem niebem?

Wzruszenie zatamowało mu głos.

— Ale Rona nie chce wracać. Cóż, tu wychowana, przyzwyczaiła się do rozmachu życia nieskrępowanego, do przyjemności południa. Jesteśmy tu, jak

zdobywcy Rzymu na Capri. Przeżera nas żądza użycia.

Milczał długą chwilę.

— Ale ja nie na próżno tu robię pieniądze. Wróć do kraju, o, wróć! Choćby Rona nie chciała. Wtedy oddam krajowi uzbierane na obczyźnie bogactwo.

— W jaki sposób?

— Będę zakładał kooperatywy spożywczo-wytwórcze, — zwierzył mi się wstydliwie, — ogromny plan... Jeszcze wtedy, kiedy, jako student w Lipsku, czytałem Abramowskiego, powstał mi w głowie. Pokażę panu kiedykolwiek. Tą drogą można odrodzić społeczeństwo. Można uniknąć rewolucji socjalnej i etatyzmu, który jest nieodłączny od kolektywizmu centralistycznego.

Więc ten praktyczny, zrównoważony Dorn opanywany był przez myśl jakąś, zapewne utopijną, podsycaną nostalgią! Chciałem go wypytać o szczegóły wielkiego planu, kiedy z gabinetu jego ozwał się telefon. Podszedł tam i wrócił niezadowolony.

— Telefonuje Papadato. Pyta, co robi w tej chwili jego żona, czy jest kniaź. Skłamałem mu tam coś, bo niech pan patrzy...

Podprowadził mnie do okna. W świetle pełni widać było wśród grupy akacji i platanów dwie postaci. Po połysku srebrnych ozdób na czerkiesce łatwo było poznać kniazia.

— Obyczaje tutejsze pozwalają na takie tête-à-tête

te. Ta banda konkwistadorów, co się rzuciła na stare dziedzictwo Krym-Girejów, nie poto robi pieniądze, nie krępując się zbytnio etyką, żeby się w czemkolwiek pozatem również krępować. Ale Papadato przechodzi męki zazdrości. Przepowiadam panu, że z tego nie będzie nic dobrego!

Wróciliśmy do salonu. Weszła w tej chwili pani Zoe z kniaziem. Dorn podszedł do pani Zoe.

— Mąż telefonował. Powiedziałem, że pani tu flirtuje, aż strach!

Pani Zoe zbladła. Ale wnet poznała z twarzy Dorna, że to żart i zaczęła się wdzięczyć do niego, chcąc w nim mieć stronnika swej sprawy serdecznej.

— Niech pani nie igra z ogniem, — ostrzegł Dorn serjo, — Aleksander Achillesowicz w zazdrości może być straszny. Niech pani nie zapomina, że matka jego jest rodem z Syrii. Może w nim dotąd jest ciemne dziedzictwo czczycieli Asztarot i Molocha!

— Chce pan uczynić męża interesującym w moich oczach, — lekko zaśmiała się pani Zoe.

Dorn uznał, że gadać z nią — to rzucać groch o ścianę. Pospieszył na spotkanie nowych gości, którzy właśnie zajechali przed dom. Z początku wszedł pułkownik kozacki za nim wtoczył się gruby Kantorowicz, drugi spółnik firmy „Kantorowicz i Aładżałow“ w Bachczysaraju. Jego opasła, krótka figurka poruszała się z trudnością i chętnie zastygała w przyjemnej kontemplacji. Wtedy wyraz zmysłowego dosy-

tu wypelzał na grube wargi. Górna warga unosiła się i zdawała stykać z nosem haczykowatym. Ale wśród tej niemrawej opasłości w bezustannym ruchu były małe oczki pod czerwonymi powiekami. Biegały po otoczeniu, iskrząc się ze zrozumieniem i uwagą, przenikliwe, nieuniknione, widzące wszystko we wszystkich.

Firma Kantorowicz i Aładżałow należała do najpoważniejszych klientów Dorna, a więc i moich. Pani Wera, sekundująca zawsze interesom męża, uprowadziła Kantorowicza i pułkownika do jadalni, obsypując ich grzecznościami i serdecznością. Bolały mnie te zbytnie awanse wobec dwóch mężczyzn, wyglądających na brutalnych prostaków. Rozumiałem niewytorność duchową kobiety, która mogła znosić podobne otoczenie, nie dające najmniejszej karmi dla inteligencji. Rozumiałem — i jednak już w tamtej chwili, gdy siedziała przy srebrnym samowarze w sukni z czerwonego batystu, z białą różą we włosach i uśmiechała się zalotnie do chudego pułkownika z czerwonym nosem — już wtedy kochałem ją do szaleństwa.

Aładżałow natychmiast przyłączył się do nas. Machinalnie obrywając kiść czarnych winogron i wypływając pestki, spoglądał na panią Werę z uwielbieniem.

Zaraz po herbacie Kantorowicz pociągnął Dorna i pułkownika do gabinetu. Dorn dał mi znak, żebym

szedł razem. Byłem przecie jego spółnikiem. Był stale lojalny wobec mnie i nie ukrywał nic przedemną.

Kantorowicz, zacierając grube i włochate rączki, proponował z namiętym żarem interes. Ten oto pan pułkownik gotów jest pomóc. Jest wszechwładny w intendenturze. Chodzi o dostawy dla pułku kozackiego, stojącego garnizonem tutaj i w okolicy.

— U nas tu centrala na cały Krym, — posepnie mówił pułkownik, jakby ogłaszając wieść żałobną. Widocznie czuł się nie w humorze.

Kantorowicz mrugnął na Dorna.

— My tu „dziele“ ubić chcemy, a wy, Feliksie Kazimierowiczu, chcecie z nami tak na sucho.

Dorn zadzwonił i wydał Tatarzynkowi ciche rozkazy. Wnet zjawiła się butelka mocnego wina i taca przekąsek. Pułkownik ożywił się. Policzki jego zaiskrzyły się rubinowo.

Omawialiśmy szczegóły tej ze wszech miar korzystnej tranzakcji, kiedy pułkownik, nabierając z każdym kieliszkiem większej rozlewności, ogłosił:

— Tylko warunek: mąka musi być z tym samym surogatem, zmieszanym w takiej samej ilości, co przy dawnym dostawcy. Inaczej zauważą, że mój poprzednik przyjmował lichy towar. A on teraz generał i mój szef. Panowie rozumieją, że nie mogę „podłożyć mu świni“. A za taką dogodność dla panów — che, che! — i ja może mały dodateczek dostanę!

— Ma się rozumieć, toż dla nas korzystniej, —

zaaprobował Kantorowicz nosem, oczkami i nagle ożywioną całą fasowatą figurą.

Ale Dorn zwykłym równym głosem, bez żadnego gestu, zaprzeczył.

— Na to absalutnie zgodzić się nie mogę.

— Ale co wy, co wy, Feliksie Kazimierowiczu, — aż podskoczył Kantorowicz.

Ale wszelkie namowy nie zdały się na nic. Pułkownik, już mocno wstawiony, ze łzami trząsł rękę Dorna.

— Tyle lat nie widziałem porządnego człowieka. Katon, można powiedzieć, Cyncynatus, cnota nie wzruszona! Wiem, że jutro znajdę innego szubrawca, który mi mąkę fałszowaną albo zgniłą dostarczy za pół ceny i zrobię na tem gruby grosz, bo każdy żyć musi. Trzeba mieć za co zalać swoje zgniłe sumienie. Podlec ja, bo na podłości patrzeć muszę. Ale was ja, Feliksie Kazimierowiczu, szanuję, ach, jak szanuję!

Lazł w objęcia Dorna, który się usuwał, nie okazując zresztą ani oburzenia, ani wstrętu moralnego jak nie okazuje się tych uczuć wobec okazów zoologicznych.

Kantorowicz przywołał dieńszczyka pułkownika i kazał go odprowadzić do jego powozu. Poczem nadął się, jak zła żmija i usiadł grać w stokółkę. Rozstawiono dwa stoliki do kart w galerji. Dorn nie grał, ale chodził po galerji, myśląc o czemś. Podszedłem do

niego, kiedy pani Wera zbyt zagłębiła się w rozmowę z Aladżałowem.

— Czemu pan się nie zgodził — na te dostawy, panie Feliksie, — zagadnąłem, — jak będziemy takimi skrupulantami, nigdy nie zrobimy dość pieniędzy, żeby wrócić do kraju!

Dorn zwrócił do mnie twarz, zmaconą do dna.

— Ta chęć zysku, choćby nieprawego... To jak zaraz. Potrzebuję tyle pieniędzy dla Rony. Ona taka piękna, jej trzeba strojów i zabawy. Wśród tych rekinów giełdowych zacierają się skrupuły. Cóż mi tam po tych muzykach i kozakach... To bajki — gadaniny o „gółębim ludzie rosyjskim“, odmiennym od swego rządu. Każdy lud ma taki rząd, na jaki zasługuje. Niechno puszcza ten lud na swobodę — zobaczy pan takie okropności, jakich nie umieli wymyślić w średniowieczu za napadów Tatarzy. Lud rosyjski ma w sobie nie tylko okrucieństwo, które okazał na ulicach Warszawy, nie tylko podłość niewolnika, ale to, co go wśród wszystkich ludów świata najbardziej degradowało: chuliganerję.

— I nie tych muzyków mi żal, że będą jedli chleb ze złej maki. Ale niech pan pomyśli: tu w garnizonie są żołnierze - Polacy. Proszę pójść w niedzielę do kościoła. Pan ich zobaczy.

— Pan nie robi majątku, panie Dorn, — powiedziałem twardo, — pan jest sentymentalny.

— Majątek zrobię, — stalowa nuta zabrzmiała

w głosie Dorna. Wyprostował się i nasłuchiwał. Huk młyna załamał się, wszedł w niego nowy ton.

— Na krupczatkę 000 puszczają maszynę, pan wybacz, muszę zajrzeć, — powiedział śpiesznie i zbiegł ze schodków.

Kroki jego umilkły w ciemności. Zwróciłem się do pani Wery.

Powitały mnie lśniące oczy, wołające nienasyconym głodem życia... Był w nich odblask tej samej omdlewającej tęskności, co w oczach pani Zoe...

Pułkownik spojrzał na zegarek i śpiesznie zerwał się z leżaka.

— — — — —
— Mamy iść na spacer — panna Marja i jeszcze parę osób.

— To ta pielęgniarka? Ładna osoba — powiedział inżynier S.

— Tak, to moja pielęgniarka z frontu, z wagonu sanitarnego nad Stochodem, — objaśnił pułkownik i fala krwi zabarwiła bliznę na jego twarzy.

Oddalił się z pośpiechem.

IV.

Nazajutrz pułkownik zajął zwykłe miejsce na leżaku i opowiadał dalej:

— W parę dni potem rano zadzwonił telefon. Niechętnie wziętem słuchawkę do ręki. Doszedł mnie przeciągający z rosyjska, a jednak tak melodyjny głos Wery.

— Panie Jerzy, — mówiła, — chcemy zrobić wycieczkę do Czuiut - Kaie. Będę dziś u Cetnowiczowej o szóstej. Przyjdzie pan? Opowiem panu *podrobnie*.

Przez cały dzień żyłem w niesłychanym podnieceniu i dałem się w interesie nabrać jakiemuś Karaimowi. Zajmowała mnie myśl, czy Dorn jedzie także? Ale gdzieżby on opuścił swój młyn!

O szóstej dzwoniłem do Centnowiczowej. Przed drzwiami stał już kary zaprząg Dorna. Spotkała mnie pani Cetnowiczowa ubrana po domowemu, w długim kaftanie batystowym, pachnąca piwem, którego wypijała na dzień nieskończoną ilość butelek. Twarz jej oblekała czerwona maska, pod którą ukryte było w letargu jakieś lepsze i wyższe życie. Czasami dale-

kie przypomnienie, jak tchnienie wiatru, rozgarniające listowie i ukazujące wśród niego kiść kwietną, przywoływało na tę twarz obrzękłą wyraz inteligentny i miły. Marzyły się jej wtedy rzeczy swojskie, przeżycia młodości. Ale znowu spadał na nią kurz codzienności, kurz cudzego życia w cudzym kraju i sięgała po nową szklankę piwa. Świadomie i bezapelacyjnie staczała się w dół. Już nie mogła przerwać zakłętego koła spraw niższych, materialnych. Grzęzła w powszedności. Za lenistwem ducha szedł bezwład ciała. Porządek w domu daleki był od europejskich wymagań. Żadna ozdoba estetyczna, żaden wazon z kwiatami nie barwił prostego, ciemnego urządzenia pokoju. Nie czyniła żadnego wysiłku ponad konieczność, ponad absolutną niezbędność. Umiała tylko zużyć moc energii na upieczenie jakiegoś nadzwyczajnego ciasta, jeżeli zapaliła się do tego, jak do zabawy, a nie znajdowała czasu na starcie kurzu z etażerki.

Zostawiła mnie na chwilę w saloniku. Na stole, przykrytym odwieczną serwetą pluszową leżała książka w zatłuszczonej oprawie z wypożyczalni publicznej. Rosyjski romans, nudna realistyczna historia cudzołóstwa. Zabolało mnie, że te opisy miłości, podobne w swej nieosłoniętej brutalności, w pasji nazywania wszelkiej nagości i brudu po imieniu do opisów klinicznych, do mięsa obdartego ze skóry mogłaby czytać panna Marysia...

Ta sama, która zrobiła wielkie odkrycie literackie na początku wieku XX: odkryła „Przedświt“.

Za drzwiami słyhać było powolne i trudne czytanie wyrazów polskich z mocno rosyjskim akcentem. Zaciekało mnie to. Zagadnałem panią Cetnowiczową, co to znaczy?

Uśmiechnęła się na to.

— Marysia pod wpływem księdza, co to nam go niedawno do Rostowa zabrali... Uczy diatwę polską. Niech uczy... Przynajmniej o romansach nie myśli. Bo po co... Przecie to wszystko na zagładę skazane... Nie uchowa polskości...

Otworzyła drzwi do przyległego pokoju. Przy stole siedziało ośmioro dzieci. Prezydowała panna Marysia z wielkiem przejęciem i powagą. Z dziwnem uczuciem wziąłem do ręki elementarz Promyka.

Chłopczyk piętnastoletni, który dukał właśnie, podniósł na mnie śmiałe, ciemne oczy. Kiedy zwróciłem się do niego z zapytaniem, nie umiał mi odpowiedzieć po polsku.

— Oni w domu już mowy zapomnieli, a Kazik uczy się dopiero od miesiąca, — wyjaśniła panna Marysia.

Takie głębokie było spojrzenie jej oczu. Tyle wdzięku było w siedemnastoletniej mentorce, wymawiającej na krańcach obcego świata imię Ojczyzny! Coś mi się wydało wtedy... Ale posłyszałem śmiech Wery...

Nie uwierzysz; podczas inwazji przysłano do mego pułku podporucznika. Po prezentacji służbowej pyta: — Pan pułkownik mnie sobie nie przypomina?

Nie, gdzieżby. Wyobraź sobie: był to Kazik, którego nauczyła czytać i mówić po polsku Marysia Cetnowiczówna. Znalazł drogę do Ojczyzny. Znalazłby nawet, gdyby nie przyszła niepodległość...

Wera wpadła wesoło, wołając:

— Ach, Marysia znowu ze swymi zamorusańcami!

Ucałowała ją i pokazała mi ręce, jeszcze zabarwione na kolor buraczkowy.

— To od morwów! Widzi pan: ledwo domyłam, Pani Ewelina ma morwy w ogródku. Bardzo je lubię.

Powietrze zapromieniowało tęczkami, wszystko się stało radością taneczną. Wera tutaj!

Wyszliśmy do ogródka, otoczonego żywopłotem żółtej akacji. Usiedliśmy wśród tuj. W żółtych kwiatkach brzęczały pszczoły. Sztywne tuje trzymały straż. Przypominały rzeczy bezdennie poważne i żałobne. Nie chcieliśmy pamiętać o nich.

Wera szczebiotała, układając plan wycieczki. Sami swoi: ja, ona, Lela, sędzia Bogucki, Wołyniccy, pani Ewelina z córką.

Chciałem wyjaśnić punkt najbardziej niepokojący:

— I pan Feliks z nami?

Zaśmiała się, jak na pytanie o czemś niewiarogodnem.

— Skądże, to pan nie wie, że on woli swój młyn odemnie!

Marysia weszła, prosząc nas na kolację.

— Ja już się z państwem pożegnam, nie przyjdę do stołu, tam znowu nabierało się kacapstwa! Tylko język sobie człowiek wykoszlawia!

I z chmurą na czole odeszła.

Przy stole zastawionym obficie siedział już dobroduszny i liberalny Moskalik, doktor Safronow i muzyk Deszke. Ten ostatni zaledwie mówił po polsku, zachłystywał się z zachwyty nad Glinką i Musorgskim, w porównaniu z którymi czemże Beethoven lub Wagner! Duże jego ciało emanowało ze siebie zwierzęcą żywiołowość, instynkt nieopanowany inteligencją i wolą. O jego historjach erotycznych opowiadana dużo i ze śmiechem. Jasna broda okalała małe usta zmysłowe, artystyczna czupryna opadała na koszulę wyrzuconą na wierzch i przepasaną, obyczajem studentów rosyjskich.

Przypatrywałem się temu okazowi przez kilka minut, poczem zapytałem po cichu Wery:

— Jak można coś takiego przyjmować w domu gdzie jest młoda panienska?

— No cóż, bawi panią Ewelinę, Wygrywa jej na fortepianie i wyjada za to konfitury i pierożki, oświadczył się Marysi — całkiem szarmancko — na-

pisał dla niej romans — muzyka i słowa własnego układu. Ale oświadczył się o serce, nic nie mówiąc o ręce. Marysia w nos mu się roześmiała, a po jakimś śmielszym objawie galanterji — zażądała od matki, żeby mu dom zamknęła. Ale gdzie tam! To też Marysia zamyka się w pokoiku na górze i żyje po swojemu, a matka po swojemu.

Ozwał się znowu dzwonek i wpadła trzpiotowata, roześmiana pani Mąkowska.

— Wraca z Ałupki, jeździła tam z jednym Rosjaninem, urzędnikiem Izby Skarbowej, — po cichu informowała mnie Wera.

— I taką przyjmują?

Wera wzruszyła ramionami.

— Każdy szuka szczęścia, gdzie może, — powiedziała. Nie wydawało się jej to nagannem — wszyscy dokoła żyli podobnie.

Pomyślałem, że ta sama pani Ewelina, mieszkając w kraju, nie uważałaby za możliwe zbierać u siebie podobnej kompanji.

Mąkowska, rudawa i czerwonawa, nabrała konfitur dereniowych na spodeczek i opowiadała swe wrażenia, odparowując złośliwe aluzje obecnych. Śmiała się łaskotliwie, jakby jej te aluzje schlebiały. Zwłaszcza bezceremonjalne, zuchwałe zdania erotomańskie wygłaszał Deszke. Był spocony, zda się, opłynięty topliwą, tłustą cielesnością.

W pewnej chwili wysunął się do ogródka. Nucił przez chwilę romans cygański, potem umilkł.

— Proszę zawołać Deszkego, niech pogra,—zwróciła się do mnie pani Ewelina.

W ogrodzie Deszke był nieobecny. Ale za to z fadjatki, gdzie był pokoik Marysi, usłyszałem jej głos. Zdziwiła mnie surowa energja tego głosu. Wszak miała najwyżej lat siedemnaście! U istot pozostawionych samym sobie wcześniej rozwija się samozachowawczość.

— Proszę wyjść, — wołała Marysia w najwyższym wzburzeniu, — zawołam ludzi! Precz stąd.

— Czegoż wy, panienczka, ja tylko rączkę chciałem pocałować za uczenie mojej siostry...

— Pan chce, żebym przestała ją uczyć!

— A nie, tego pani nie robi, nie potrafi pani, Niutaż niewinowata!

Marysia umilkła. Deszke dobrze wyczuwał, że ona tego nie robi, że będzie duszę każdego dziecka ratowała do końca.

— Pani na mnie gniewacie się, a ja Sienkiewicza „Ogniem i mieczem“ czytał.

— Bardzo się to panu chwali.

— Trzeba mnie pocałować, to ja i „Potop“ przeczytam, i w niedzielę pójde do kościoła...

— Panno Marysiu, — krzyknęłam z całej siły.

Ukazała się w oknie z groźnie błyszczącymi oczami. Krew wrzała we mnie, jak ukrop, mózg objęły

plomienie. Paru skokami wbiegłem po schodach na górę. Czulem, jakby Deszke rzucił wyzwanie i szarł wszystkich mężczyzn świata, każdego kto godzien nazwy mężczyzny, mnie pierwszego. Wszystkie instynkty rycerskie powstały we mnie.

Deszke stał zmieszany pośrodku pokoju, kiedy tam wpadłem.

— Słuchaj, ty, chamie, — syknąłem, — tu nie ma kto bronić dziewczyny. Powinni cię byli dawno za drzwi wyrzucić. Jeżeli jeszcze raz powtórzy się coś podobnego, będziesz miał ze mną do czynienia. Rozprawię się z tobą, nie oglądając się na panią Ewelinę. Popamiętasz!

Byłem trochę niższy i szczuplejszy od tego brodatego, barczystego draba w koszuli, wyrzuconej na spodnie. Ale Deszke zachował się pokornie, jak wół, wkładający łeb w jarzmo.

— Mnież pani Ewelina pozwoliła bywać, jeśli nie będę „zagabać“ panny Marji, — powiedział pojeźdnawczo, — ja i nie będę. Nasilnie miły nie będziesz.

Zawrócił się i wyszedł. Po chwili z dołu zabrzmiał romans Rubinsteina, grany na fortepianie.

Marysia miała łzy w oczach.

— Panie Niementowicz, nigdy nie zapomnę panu...

— Co tam, jest o czym mówić. Niech pani pamięta, że może pani zawsze się do mnie odwołać. No, niech pani nie będzie taka zgnębiona. Jedziemy na

wycieczkę, a potem namówię panią Werę, żeby panią zabrała do siebie, aż ten miły egzemplarz wyjedzie do Moskwy, do konserwatorjum.

— Mnie pani Dornowa zapraszała, Lela tęskni za mną, ale ja nie mogę. Dzieci tutaj...

— To znowu to samo, co siedzenie w leszczynie z węzami, bo leszczyna — to polskie drzewo. Marysia zaśmiała się.

— Tylko Deszke to nie wąż, a szympanś.

— Niechże pani nie będzie zgnębiona. Co mam zrobić, żeby pani nie była smutna?

Zaświtał mi dobry pomysł. Wyjąłem parę banknotów i położyłem na panińskim biurczku, ozdobionem podobizną księcia Józefa i popiersiem Mickiewicza.

— To na książki dla dzieci pani.

Marysia rozpromieniła się.

— Mój Boże, to starczy i na podręcznik do dyktand podług uchwał Akademji, i na sześć co najmniej historii Góralczyka, i na broszury Brzezińskiego... Jaki pan kochany...

Zszedłem na dół. Rozmowa toczyła się przeważnie po rosyjsku ze względu na doktora Safronowa. Pani Ewelina siedziała nad filiżanką herbaty w swym długim kaftaniku batystowym. Zamyślona, zgarbiła się i oparła na ramieniu rękę z papierosem. Popiół spadał w tył. Po chwili powstał popłoch i śmiech — pa-

pieros wypalił dziurę w kaftaniku. Zdarzało się to pani Ewelinie niejednokrotnie.

Do pokoju wtoczyła się gruba Barbara, Litwinka z pod Szawel, którą losy nieszcześliwej miłości zarzucały aż na Krym. Nie umiała mówić dobrze żadnym językiem, prawdopodobnie i litewskim też już obecnie zaledwie władała.

— Panieczka, ta ubożki panine przyszedłszy, — oznajmiła.

Pani Ewelina poszła do kuchni. Dom miała zawsze pełny i z gośćmi nie robiła ceremonji.

— Pani Ewelina jest zanadto dobra, te ubożki ją wyzyskują, — zauważyła pani Mąkowska, która sama nie raz udawała się do pomocy finansowej pani Eweliny.

— Ta, jakże, — konfidenccjonalnie potwierdziła Barbara, mająca w domu niemałe przywileje, — *wona* ze wszystkim nienormalna. Wszystko rozda, tak i dla naszej Marysi nie zostanie.

Wyrazu „nienormalny“ często używała pani Ewelina — brzmiał on dość oryginalnie wśród ubogiego słownictwa Barbary.

● Zszedłszy zgóry, nie śmiałem patrzeć na cudzą żonę. Czystość Marysi z jej pokoiku z góry spłynęła tu i zakreśliła dokoła Wery *tabu*. Uporczywie brzmiał mi w uszach głos studenta suchotnika, o płonących oczach, przewodniczącego naszego kółka uczniowskiego tam, kiedyś, w kraju:

„O ile rozszerzycie i polepszyć serca wasze, o tyle polepszycie prawa i rozszerzycie granice“.

Nakaz doskonałości, jako obowiązek, jako warunek odzyskania Niepodległości...

Spojrzała. Przywiała dma czysta i śnieżna nakaz z zapomnianej mogiły młodego przewodnika, który zginął w kraju wygnania...

A ja... cóż, poszedłem w dobrowolną ekspatrjację...

Wera odczuła, że coś stanęło między mną a nią.

— Pójdziemy popatrzeć na ubożki pani Eweliny, — proponowała.

We drzwiach musnęła mnie obnażonym ramieniem i spojrzała oczami pełnemi obietnic i słodyczy. Stałem się znowu konkwistadorem na południu Rosji...

W kuchni pani Ewelina siedziała ze swym nieodłącznym papierosem, zarzuconym w tył i z małym pinczerkiem na kolanach. Ulubieniec ten był zły nad wszelką miarę i nie dawał się dotknąć nikomu, nawet Barbarze. Białe, z czarnymi paciorkami oczu wyglądał, jak zabawka, póki nie zaczynał szczeleć. Spał z panią, a prześcieradełko do kąpielii miał znaczone M. C. (Miluś Cetnowicz).

Dziwnym był pociąg pani Eweliny do ludzi wykolejonych, wyrzuconych poza nawias życia, zdegradowanych i upośledzonych. Jak gdyby, otaczając się nimi, pani Ewelina pograżała się w świat zgoła odmienny od tego, w którym żyła w młodości, najdy-

wała właściwe tło dla własnego wykolejenia i opadnięcia.

Na stołkach naprzeciwko pani Eweliny siedziały dwie kobiety. Jedna była wygnieciona i pomarszczona, jakby zrobiona z bibułki wielokrotnie zmiętej w rękach. Wyglądała na łachman człowieka. A jednak te policzki już całkiem nieczłowiecze, nie będące w stanie zakryć kantów i wypukłości czaszki, policzki wpadnięte i naznaczone rozkładem, były zlekka uróżniane. Staroświecka kapotka zdobiła kokietyryjnie głowę, a długą szyję, podobną do szyi ptaka oskubanego z pierza, okalało zrudziałe boa kogucie.

Druga — była to zażywna przekupka z czerwoną twarzą i szelmowskim siwem okiem. Kosz przykryty płótnem postawiła obok siebie. Obie nobliwie i delikatnie popijały herbatę, przegryzając ciastem. Przekupka rozwodziła się o trudnościach handlu i o rzekomych deficytach, które pokrywała pani Ewelina. Znudziło to panią Ewelinę.

— To jak pani zmieniła nazwisko, pani Krupko? — zwróciła się do chudej.

— Tak, powiadam, panieczka, że prawdziwe moje nazwisko Sierakowska. Panieczka słyszała — powiesili go za powstanie. Majątek skonfiskowali. I mnie prześladowali. Posesora żona paszport mnie dała — od tego czasu i nazywam się Krupko.

Przekupka mrugnęła szelmowskim okiem.

— A mnie mówiła Agafja pani Złotowicz, u któ-

rej pani bieliznę szylaś, że podpiwszy na imieninach, wygadałaś się pani, że zmieniłaś nazwisko, jak wielka kradzież była w majątku. Pani tam byłaś za gospodynię.

Pani Krupko plasnęła bezmięsnymi rękami. Stukotnęły, jak kastaniety. Skóra koło ust sfałdowała się w rysy zgrozy.

— Łesz pani, żebym tak z tego miejsca nie zesła! Najświętsza Panna Boruńska ciebie pokarze, że krzywdzisz wdowę po powstańcu, męczennicę za Ojczyznę, można powiedzieć!

Łzy pocięły jej po policzkach, żłobiąc bruzdy w warstwie pudru.

— Pani Ławrowicz niech da spokój pani Krupko, — zainteresowała pani Ewelina, — Barbaro, przynieś-no, duszko, moją bluzkę w kratki dla pani Krupko!

Barbara wyszła z miną krytyczną i nadętą. Wera wysunęła się, rzucając mi ubawione spojrzenie.

Wkrótce z kuchni przytoczył się Miluś, a za nim wróciła pani Ewelina. Pobłażliwie słuchała opowiadania pani Mąkowskiej, jak bawiła się w restauracji na koszt bogatej kupcowej, której wróżyła z kart.

— Niech pani i mnie pociągnie kabałę, — powiedział.

Pani Mąkowska poszła po karty. Tymczasem wszedł wysoki i chudy mężczyzna. Na rasowym jego tułowiu wznosiła się mikrocefaliczna, zwyrodniała

głowa z łysiną. Twarzyczkę skurczoną, jak pieczone jabłuszko, okalała wspaniała, ogromna broda. Był to brat Cetnowiczowej, Marjan. Ukłoniwszy się towarzystwu, usiadł, przy stole, tępo patrząc przed siebie. Nie słuchał, co mówią inni, ale w pewnej chwili zaczął prosić natarczywie:

— Ewciu, Ewelinko, kup mi nowy świder. Złamał mi się świder. Nie skończę półki.

— Dobrze, dobrze, — cierpliwie odpowiadała pani Ewelina.

— Ja wiercił dziurę w desce, a kot jak skoczy mi na rękę, ręka poszła w bok, a świder — traach! — opowiadał pan Marjan ze śmiechem krety. I zaraz potem zwrócił się do sąsiada z lewej strony i powtórzył opowiadanie.

Ciężki nastrój padł na towarzystwo. Pana Marjana, jako syna ziemiańskiego, gwałtem chciano wykierować na inteligenta. Wiedza nie mieściła się w jego nierozwiniętym, za małym mózgu. Natomiast okazywał wielkie zdolności i zamiłowanie do stolarstwa. Wykonywał rzeczy wprost artystyczne. Ale gdzieżby syn inteligencki mógł być rzemieślnikiem!

Został więc drobnym urzędnikiem, bo czwartej klasy nie zdołał przekroczyć. Musiał robić ogromne obliczenia, mylił się i ciągle z tego powodu potracano mu z pensji. Biedny jego, mały mózg, który nie mógł rozrość się w drobnej czaszce, nie wytrzymał wysiłku. Nieszczęśliwy zwarjował. Ale po dłuższej kuracji

w domu obłąkanych odzyskał przytomność, chociaż pozostało mu niedołęstwo myśli. Był jak naczynie strzaskane i źle sklezione, które wszystkimi szparami przepuszczało wodę i mógł utrzymać tylko drobną cząstkę płynu, który w nie nalano.

Pani Ewelina odwiedziła go w zakładzie, wzruszyła się i zabrała do domu pomimo opozycji męża i wszystkich domowników. Szerokie jej serce nie mogło znieść myśli, że przytomny męczy się wśród chorých. Ale pan Marjan miewał nawroty choroby — przypadające nań niespodzianie, nie dające się przewidzieć. Śmiertelnie bała się ich Marysia.

Pan Marjan wciąż głądził, śmiejąc się idiotycznie. Aż Deszke podszedł do fortepjanu i zaczął grać.

— Przestań mówić, Marusiu, przeszkadzasz słuchać, — upominała go pani Ewelina.

Chory umilkł i wpadł w smutne przygnębienie i oświałość.

Dzwonek ozwał się znowu. Wrócił do domu pan Cetnowicz. Witął się ze wszystkimi z przesadną grzecznością. Nalano mu herbatę do szklanki ze srebrną podstawką. Siedział wśród towarzystwa obcy i obojętny, dając odpowiedzi z tą samą przesadną grzecznością, z przychyleniem połowy ciała naprzód dla zaakcentowania względów i gotowości. Pod tymi pozorami czuć było dalekość i głębokie lekceważenie. Nie lubił towarzystwa. Obcy i oderwany był od swego otoczenia, jak kawał ładu oddzielony przez katak-

lizm, do którego nie sposób przebrnąć przez głębinę. A nikt nie umie znaleźć łodzi, któraby w drodze nie zatонуła...

Wyszedłszy z tego domu wraz z Werą, odetchnęłam głęboko. Widziałem dziwotworną powykęcą roślinę cudzego życia, rosnącą na obcym gruncie, znikającą i żółknącą pod obcym słońcem nazbyt palącym...

V.

Pułkownik, który przerwał swe opowiadanie w chwili, gdy dzwonek wezwał nas na obiad, nazajutrz znów na leżaku podjął swe opowiadanie.

— Wiesz, Antek — rzekł do inżyniera S. — czuję, że okropnie gładzę. Wyładowuję wszystkie dawne wrażenia i jest mi z tem nawet dobrze, bo wydaje mi się, że wytrząsam ze siebie zmorę tamtego życia, która ukradkiem przyczajona tkwi w moim systemie nerwowym, że wypływam truciznę formy bytowania, jak topielec słoną wodę po odratowaniu. Ale napewno opowiadałbym więcej, gdybym mógł palić.

— A prawda, nie palisz, — zwrócił się z zaciekawieniem inżynier S. — cóż się stało?

— Obiecałem pannie Marji, — odpowiedział pułkownik wstydliwie, patrząc w bok na plamy słoneczne na trawniku, — lekarz znalazł coś tam w sercu, pan-na Marja zrobiła gwałt po swojemu, musiałem przyrzec.

Wyciągnął z kieszeni tabliczkę czekolady i gładząc

pieszczotliwie brązowy papier ze złotymi literami, powiedział z uśmiechem:

— Dostałem za to czekolady...

— Czemuż nie jesz?

— O, nie tak odrazu, — odparł pułkownik, piastując ją w rękach.

Inżynier zaśmiał się, oficer zarumieniał się.

— No, jedź dalej, — Jerzy — zawołał przyjaciel, — powstrzymuj się na razie od komentarzy.

— Więc stanęliśmy na tej wycieczce do Bachczysaraju. Znaleźliśmy się wszyscy na dworcu — ja, Wera z Lelą, pani Ewelina z córką, sędzia Bogucki i urzędnik akcyzy Wołynicki z żoną. Wołynicki był to niebieskooki Longinus o smutnie zwisających wąsach. Nawet mundur urzędniczy nie mógł zatrzeć jego pańskich manier. Zżerał go, jak skir ukryty, żal po utracie majątku na kresach, potrzeba bezustannego kurczenia swych pożądań i narowów, nie mieszczących się w ramach budżetu.

Żona jego, czarnowłosa „belle femme“, chociaż już trochę zniszczona, próbowała swych wdzięków na sędzim Boguckim. Sędzia stołował się u Wołynickich — stąd zażyłość. Wera nawet opowiedziała mu pocichu, jak pani Wołynicka przebiera się w świeże bluzki na obiad, a męża, co majątku nie umiał utrzymać, ma za nic.

Pani Wołynicka miała na rękach, mimo upału, pal-

jowe rękawiczki skórkowe. Na wewnętrznej stronie dłoni już zaznaczyły się ciemne plamy od potu.

Kiedyśmy usiedli w wagonie i wwindowali wszystkie nesesery, walizeczki i paczki, Wera zagadnęła panią Wołynicką:

— Cóż, czy niema wiadomości o testamencie ciotki państwa?

Pani Wołynicka westchnęła, podnosząc oczy, jak Madonna bolejąca.

— Nie pisze adwokat ciotki. Jeszcze ciotka się waha. Powiada, że jak jednego majątku nie utrzymaliśmy, nie utrzymamy i drugiego. Odprawiam nowennę na tę intencję.

Bogucki, niedowiarek, zarażony jeszcze na uniwersytecie płytkim liberalizmem rosyjskim, uśmiechnął się ironicznie. Był zresztą dobrym Polakiem, sprowadzał książki polskie i bez ceremonji poprawiał rusycyzmy w mowie. Dokuczał tem Werze, która śmiała się tylko, rozumiejąc dobrze, że to, co raziło w innych, jej dodawało pewnego uroku egzotycznego.

Pani Ewelina była w doskonałym humorze. W młodości podróżowała dużo, bawiła we Włoszech, obracała się w Warszawie i w Rzymie, wśród artystów i ludzi wybitnych. Zmiana miejsca wywołała na wierch zamarłe wspomnienia i przeobraziła ją zupełnie. Bawiła nas przez całą drogę:

— Przyjechałam do Florencji pierwsza, moi mie-

li przybyć dopiero za parę dni. Nie umiem po włosku prawie że ani słowa, a pogadać mi się chce, aż strach! Wyszłam na miasto raniutko, piekarnia już otwarta. Wstąpiłam po chlebek, stoi piekarz piękny, jak patrycjusz rzymski, aż się prosi jakiemuś Godebskiemu pod rylec, albo Siemiradzkiemu pod pędzel. Wyszczereza do mnie zęby. Pokazuję mu na migi, czego chcę. — Venti centesimi, — powiada. Znowuż na palcach wymigaliśmy sobie, że to dwadzieścia. Zapłaciłam. Co by tu powiedzieć? Zbliżam się do niego i mówię jedynie, wiadome mi zdanie po włosku: — Parlata d'amore! — Jak się nie porwie Włoszysko z za lady, jak nie wyskoczy za mną! Ledwo umknęłam!

Zagryźliśmy to opowiadanie cukrami i owocami. Dzięki pani Ewelinie, dojechaliśmy wesoło do Bachczysaraju.

Z dworca powędrowaliśmy do hotelu dla pielgrzymów, odwiedzających klasztor prawosławny za Bachczysarajem. O ile pamiętam, nazywał się „Siergiejewskij Skit“. Sam Bachczysaraj, wtłoczony w kotlinę między skałami, jest wyciągnięty w jedną prawie ulicę. Na skałach suszył się tytuń i pęki czerwonego pieprzu tureckiego. Ulica była gwarna i natłoczona. Sprzedawano owoce, wąskie dzbanki gliniane, czadry. Przechodziły kobiety w szarawarach i pantofelkach, mających przyszwę tylko z przodu. Niektóre były straszne, jak czarownice. Cudnie piękne tatarzeta

sprzedawały ogromne, dojrzałe morwy, a oczy ich były takie same ciemne i ogromne, jak te owoce.

Za miastem w skałach była galerja, pieczara, długą bardzo i tak wysoka, że zbudowano w niej klasztor z cerkwią. Budowla ta, jasna na tle pieczary pełnej cienia wyglądała nadzwyczaj malowniczo. U stóp skał rozrzucona była dolina, jak haftowany kobierzec Edenu. Trawę zasypywały dojrzałe morele o gorącej, czerwono-żółtej barwie. Tuje i cyprysy czerniały i szarzały nad tem bogactwem owocu.

— Co mówicie na to, Salhiry dziewice? — zagadnąłem Marysię z Lelą.

— To, że ruczaj z niezapominajkami jest piękniejszy. — zawołała Lela.

— Panna Lela nie widziała tego nigdy.

— Tatusi mówił, — odparła z głębokim przekonaniem.

Coś zawierciło mi w sercu boleśnie. Tak, to córka Dorna, trzeba się z tem liczyć. Jakie rozdwojenie może z tego wynikać nawet dla Wery, śmiejącej się w tej chwili z taką beztroską pustotą?

Zatrzymaliśmy się w hotelu dla pielgrzymów. Dano nam dość czyste pokoje. Usługiwał nowicjusz w świeckiem ubraniu, inteligent z twarzą zamartwioną i skamieniałą.

Podszedłem do niego, gdy na balkonie dmuchał w samowar, nastawiony dla nas.

— Co pana skłoniło, żeby wstąpić do klasztoru? zapytałem ciekawie.

Poprawił na samowarze rurę blaszaną, przez którą wydobywał się dym.

— Byłem studentem uniwersytetu. Przeszedłem przez rewolucję. Przeszedłem przez tolstoizm. Nie znajdowałem spokoju. Rzuciłem się w życie klasztorne, jak rzuca się w czarną toń. Z głową. Dla uspokojenia.

— I znalazł pan uspokojenie?

— Za dużo nauczyłem się kiedyś Straussa i Renana. Ale byłoby mi lepiej, gdyby ojcowie tutejsi byli inteligentniejsi, subtelniejsi, żyli podług Ewangelji.

Zapatrzył się gdzieś daleko, w słońce zachodu złoścące skały.

— Tam, daleko jest Kościół powszechny, katolicki, w nim piękno i kultura, i zrozumienie dla dusz tęskniących, i wyzwolenie... Jedynie powszechny... Włodzimierz Sołowjew umiał dojść i doszedł. Cóż ja — student - nędzarz, który poszedłem tutaj tyleż z głodu, co z rozpacz, że niema nigdzie odpowiedzi. Ja nie umiem tam dojść, gdzie jest kościół, w którym Bóg objawia się w formach najwyższego piękna...

Woda zagotowała się w samowarze, otoczył go obłoczek pary. Nowicjusz zdjął rurę, wziął samowar za uszy i poniósł go do numeru pań. Wąty jego kręgosłup uginał się pod ciężarem.

Siedzieliśmy przy okrągłym stole dokoła samowaru, kiedy wszedł mnich w czarnym habicie, wysokiej czapie z welonem i oczach czarnych i tak przenikliwych, że Lela się przestraszyła.

— Nie będę mogła spać tak samo, jak wtedy, kiedy widziałam węże w cyrku, on nas podusi w nocy, — zaczęła się denerwować.

Wśród żartów i śmiechu dopiliśmy herbatę, podczas której Wera gospodarzyła ze zwykłym wdziękiem. Zamówiliśmy przewodnika do Czufut-Kale i poszliśmy spać, żeby wyruszyć przed upałem.

Nazajutrz rano spotkaliśmy się znów przy samowarze, który wniósł wąły nowicjusz. Wspomniałem, że ten był student, zwolennik Sołowjewa tęskni do katolicyzmu. Ale nikt się tem bliżej nie zainteresował, tak samo, jak nie interesowano się odrębnymi zjawiskami życia Tatarów, Ormian, Karaimów.

Wogóle zdumiewam się teraz brakiem zajęcia się Polaków w Rosji temi barwnymi odmianami narodów i obyczajów, jakie tam spotykaliśmy. Przerzuciło się na nas usposobienie Rosjan, którzy byli obojętni dla bogactwa etnograficznego w krajach przez siebie podbitych. Narzucali na wszystko pasiasty, „kazionny“ pokrowiec jednostajnej moskiewszczyzny. Tolerowali różnice w ten sposób, że ich nie uznawali i nawet nie dostrzegali. Może był to najłatwiejszy sposób rusyfikowania. Dzięki tej pozornej tolerancji, która w istocie była zakamieniałem zasklepieniem się we

własnych formach inteligencja rosyjska łatwo asymilowała ludzi innych szczepów, nawet poza szkołą i urzędem. Można było spotkać Rosjan z Uralu, Turkestanu, Krymu, Kaukazu, którzy nie mieli pojęcia o obyczajach, kulturze, historii, dążeniach narodowych krajów, gdzie zamieszkiwali przez długie lata, dorabiając się tam fortun lub urzędując. Teraz dziwi mnie daltonizm, któremu i my ulegliśmy pod ich wpływem i napróżno szukam wstecz odpowiedzi na różne pytania co do życia tamtejszego, które teraz dopiero we mnie powstają.

Z przewodnikiem - Tatarem ruszyliśmy do Czufut-Kale. Przeszliśmy dolinę zaiste rajska, zasypaną złotym owocem moreli i poszliśmy białą kamienistą drogą. Wstąpiliśmy po drodze do Doliny Jozafata. Podług tradycji tutejszych (nie pamiętam, karaimskich czy mahometańskich) tu właśnie, nie w Palestynie odbędzie się straszny sąd.

Kamienie, nagrobki, spowite w bluszcz nie wywoływały w nas refleksji, ani zatamowały w nas lekkomyślnej wesołości. Tylko pani Wołynicka rzekła sentymentalnie:

— O, jak tu pięknie muszą śpiewać słowiki, w noc taką, jak bywa i u nas, na Ukrainie!..

— Współrodak pani, Zaleski, już wyszedł z mody, — rzekł na to Bogucki uszczypliwie.

Tatar stał milczący i surowy. Nie odzywał się już swą łamaną ruszczyzną. Za nami chodziła inna para

turystów — wesoły marynarz rosyjski z Greczynką. Pobrali się niedawno. On nie umiał po grecku — ona po rosyjsku. Ale porozumiewali się jakimś międzynarodowym językiem miłości.

Zastanowił nas tylko olbrzymi grobowiec jakiegoś króla z zamierzchłych czasów.

— To musiał być kolos, — dziwił się Wołynicki. Okrągły Bogucki dopiął:

— Wyższy nawet od pana, któremu pozazdrościć może niejedna wybujała topola.

Wołynicki się nasrożył:

— Panu niejedna beczułka.

Bogucki rozkarmazyził się i rozkogucił. Ważył jakiś cięty cios, ale Wera odciągnęła go na bok i zaczęła gwałtownie wypytywać o historję Krymu, która jej ani grzała, ani ziębiła.

Bogucki, lubiący popisać się erudycją, rozpoczął wykład, którego nikt bardzo nie słuchał, prócz Marysi.

Stała zamyślona nad grobowcem króla przedhistorycznego.

— O czem tak myśli panna Marysia? Czy o skarbach, które mogą być w tym grobowcu? zapytałem żartobliwie.

Marysia podniosła na mnie szafirowe oczy.

— Myślę, że gdybyśmy się stali potężną rasą olbrzymów, prędzej odzyskalibyśmy niepodległość, —

powiedziała. Po chwili, zaczęła powtarzać gorączkowo:

— Musimy być potężni, musimy być potężni.

I jako natychmiastowy wniosek praktyczny:

— Zaraz po powrocie każę moim dzieciom robić gimnastykę.

Wyszliśmy z doliny Jozafata i udaliśmy się w dalszą drogę do Czufut-Kale. Już dziś turyści nie odbywają jej konno, jak za czasów Mickiewicza. Było ciężko iść drogą kamienistą. Żółte akacje i oliwki przydrożne były szare od kurzu. Pani Ewelina sapała i utyskiwała. Wera i pani Wołynicka były świeże lekkie w swoich sukniach z czeczunczy. Zaczęło nam dolegać pragnienie. Rozkroiliśmy ananas i podzieliliśmy się nim, ale to tylko wzmogło potrzebę płynu, odczuwaną przez wszystkie tkanki ciała, przez gardło wyschnięte, przez płuca. Pod skałą przydrożną stał Tatar, a przy nim dwa dzbanki wody. Ponieważ Wera żałośnie się poskarżyła na pragnienie, jednym susem byłem przy Tatarze i porwałem dzbanek.

— Bere su, (daj wody!) zawołałem po tatarsku.

— Bere achcza (daj pieniędzy), — odpowiedział Tatar, pokazując białe zęby.

Zapłaciwszy, pomogłem Werze dźwigać ciężki dzbanek. Jej usta były tak blisko od mojej ręki. Nagle pochyliła się i jej policzek musnął moją dłoń.

— Przepraszam, — powiedziała i popatrzyła oczami iskrzącymi, pełnymi obietnic. Ale wnet odwróciła

się i poszukała wzrokiem Leli. Lela przekomarzała się z Boguckim i nie patrzyła na matkę.

Droga wznosiła się coraz wyżej. Przed nami spiętrzył się masyw góry, na którym stoją ruiny kamiennego miasta Karaimów, Czufut-Kale.

Zdaje się, w połowie góry w zboczu jej pełno było pieczar — mieszkań człowieka przedhistorycznego. Wszedłem do jednej z nich z Werą. Leżały tam kości pokruszone. Dowodziłem, że to kości człowieka przedhistorycznego, ale Bogucki obstawał przy tem, że to są kości baranie, obgryzione przez czabanów, pastuchów, pasących trzody na „jajle“.

Poszliśmy dalej. Droga biegła po krawędzi skalnej, na wysokości dość znacznej, ale dla turystów, co znali Alpy lub nawet Tatry wcale nie zawrotnej. Pani Ewelina bała się i zakrywała oczy. Uczepiła się ramienia przewodnika, który, przyzwyczajony do tego widocznie, windował ją ze stoicyzmem.

Bogucki szedł za nią i deklamował:

...Tam nie patrz! Tam spadła żrenica,
Jak w studni Al-Kairu, o dno nie uderza;
I ręką tam nie wskazuj; nie masz u rąk pierza;
I myśli tam nie puszczaj...

— Ale naprawdę, ta przepaść mogła przerazić chyba Mickiewicza, który nie widział nic, prócz doliny kowieńskiej i góry Mendoga, powiedziała pani Wołynicka, — bo trudno o tej przepaści powiedzieć:

Przez świata szczeliny

Tam widziałem — com widział, opowiem po śmierci,
Bo w żyjących języku niema na to głosu.

Pani Wołynicka, która przed wycieczką pożyczyła u Marysi tomik Mickiewicza, żeby przewertować „Sonety Krymskie“ i zaimponować Boguckiemu, osiągnęła swój efekt. Bogucki spojrzał na nią z uznaniem i zaczął się rozwodzić, jak stroi poezja kobietę.

— I pomyśleć, że ten pan jest najlojalniejszym ugodowcem i najwstrętniejszym karjerowiczem przy całej swojej poezji — powiedział do mnie Wołynicki cicho a jadownicie.

Tą drogą, miejscami dosyć wąską, wjeżdżało konne wojsko, dźwigające z dolin żywność dla kamiennego miasta. Doszliśmy w końcu do bramy, okutej dotąd żelaznemi sztabami. Mur, miejscami rozwalony, otaczał skalne gniazdo.

Weszliśmy w umarłe ulice. Cisza panowała tu przerażająca. Tylko małe jaszczurki czasem mignęły między białymi kamieniami. Pod nogami mieliśmy jednolitą jezdnię z kamienia. Nie okrywała jej najcieńsza warstewka ziemi. Tylko gruz kamienny zasypywał ją wszędzie—gruz po budynkach i gruz po zwietrzałych głazach. Wszędzie ruiny domów... Przez białe obramienia pustych okien powiewała firanka wszechobecnego, południowego szafiru.

Nareszcie wśród kamiennego pustkowia, wśród

szkieletów domów ujrzelśmy jeden budynek całkowity. Przewodnik tu się zatrzymał. Po zniszczonym państewku Karaimów został tylko jeden pomnik: ich świątynia. Co roku pielgrzymują tu Karaimi, tak samo, jak Tatarzy uralscy do wieży Sumbeki w Kazaniu.

Spotkał nas duchowny karaimski i pokazał wnętrze ze świecznikiem wieloramiennym, skrzynią i zasłoną świętą.

Stałem zamyślony. Szczątki cudzej potęgi, która rozpadła się w gruzy, budziły w sercu polskiem echa bolesne, nienazwane tęsknoty...

Wera przysunęła się do mnie.

— Ile zajmujących rzeczy jest w tym kraju, — powiedziała z ożywieniem, — i co za klimat — nieprawdaż? Nie czuje się upału, bo z najwyższego punktu góry Czufut-Kale widać morze!

Smętne marzenia moje porwał geniusz południa i poniósł na lekkich skrzydłach wiatrem ku morzu, by utopić je tam w czarnej głębi starożytnego Pontus Euxinus.

Wyszliśmy ze świątyni. Przewodnik pokazał nam ruiny pałacu chańskiego i doprowadził do wykutego w skałe podziemia.

Był to pokój, w nim pieniek i koryto z kamienia.

— Tutaj ścinano głowy skazańcom, — objaśnił. Wera zechciała tam wejść.

— Mamusiu, i ja także, — piszczala Lela.

— Tobie nie trzeba, — odpowiedziała Wera i kiedy Marysia poprowadziła ją naprzód, weszliśmy razem do podziemu.

Było tam sucho, nie porastał nigdzie mech. Nachyliliśmy się. Na pieńku wyraźnie było widać ciemne plamy.

— To krew, — wzdrygnęła się Wera.

— Tak, to krew — odpowiedziałem pół-przytomnie. Ogarnęło mnie szaleństwo południa. Porwałem ją w objęcia, przechyliłem jej głowę. Całowałem jej usta.

— Puść, Jerzy, puść, — gorącym szeptem mówiła Wera, nie wyrrywając się wcale.

Ale nagle wstrząsnęła się.

— Lela, — powiedziała ze źrenicami rozszerzonymi.

— Prawo młodości naszej, — odparłem.

Wyszliśmy na głuche ulice kamienne, zalane słońcem. Za nimi zostało straszne miejsce kaźni, gdzie spadło tyle ludzkich głów, gdzie niezatarte ciemniały plamy krwi...

— Dotąd nie możesz wspomnieć bez wzruszenia tej chwili, — zauważył inżynier S.

— Nie mogę, — wybuchnął pułkownik i blizna na jego policzu zaczerwieniła się, — ta martwota kamienna — i wśród niej — ta menada owiana djonizyjskim zaiste urokiem! Wśród gajów południa zrodził się or-

gjazm grecki i wschodni. Dotąd, na samo wspomnienie, czuję ekstatyczne uśpienie woli i szaleństwo pragnienia!

Zdaleka mignął między drzewami biały fartuch panny Marji, dążącej do pracy popołudniowej.

Pułkownik uspokoił się. Twarz jego stężała jakby w naprężeniu do czynu. Położył się na niej jasny uśmiech, jak tchnienie łaski.

VI.

— Tu już się zbliżam do splotu dramatycznego, — rzekł nazajutrz pułkownik do przyjaciela. Po powrocie naszym do hotelu panie rozeszły się do swych numerów, a ja i Bogucki, z którym zajmowałem wspólny numer, gawędziliśmy jeszcze przez pewien czas ze studentem - nowicjuszem. Wypytywał mnie o stosunki w kościele katolickim na zachodzie. Trzeba przyznać, że obaj niewiele umieliśmy o tem powiedzieć. Pomimo ówczesnego zaniku we mnie wszelkiej ideowości, zacząłem mówić mu o unji. Ale Bogucki powstrzymał mnie znaczącem chrząknięciem.

— Idea unji zupełnie jest nie na czasie, powiedział z naciskiem, — była przyczyną wielu niepokojów i państwowość rosyjska jest jej przeciwna.

Nowicjusz (a był bestja naprawdę inteligentny) popatrzył drwiąco na Boguckiego.

— Cóż wam państwowość rosyjska? A może pan jest na służbie rządowej? Za to ja jestem tylko na służbie u niebieskiego cara.

— Złudzenie, — mruknąłem, czując jednak, że się rumienię za Boguckiego.

Bogucki wstał niezadowolony i zwrócił się do „posłusznika“, jak w klasztorach prawosławnych nazywają nowicjuszy, takim tonem, jak do zwykłego posługacza:

— Okno można zostawić otwarte?

— Można, — odparł nowicjusz, nagle skurczywszy się i cofnąwszy w siebie, jak ślimak w skorupę.

Przedłużałem rozmowę z nim, żeby, zatrzeć nieuprzejmość Boguckiego. Ale ten okazywał dalej zły humor i zaczął zdejmować ubranie, dając nowicjuszowi do zrozumienia, że czas mu się wycofać. Wyjął pugilares i złoty zegarek i położył na stoliczku przy łóżku. Nowicjusz oparł na chwilę ciężkie wejrzenie na pugilaresie i kłaniając się nam w pas, po chłopsku, wysunął się bezszelestnie.

W nocy obudziłem się, jakby mnie ktoś pchnął w piersi oburącz. Siadłem na łóżku, przecierając oczy. Okno otwarte na gwieździstą noc zasłaniał jakiś cień:

— Kto tu? — zapytałem głośno.

Cień znikł, stuknęła tylko zasuwą żelazna od otwartej żaluzji. Zerwałem się i podbiegłem do okna. Ale gdzieżby ktoś mógł skoczyć z drugiego piętra! Chyba to była halucynacja.

Zapaliłem świecę i przekonałem się, że była to przykra jawa. Nie było mojej marynarki, którą powiesiłem na krześle. Z nią znikł mój pugilares, w któ-

rym miałem również pieniądze Wery i pani Cetnowiczowej. Panie powierzyły mi je, bo tak im było w drodze wygodniej.

— Czego pan tańczy w nocy po pokoju? — zapytał Bogucki obudzony.

— Zaraz i pan zatańczy. Gdzie pana pugilares?

Bogucki rzucił się w łóżku, jak ryba wyrzucona na ład. Na stoliku przy nim był tylko wywrócony lich-tarz. Widocznie złodziej obudził mnie, przewracając go, gdyż musiał operować po ciemku.

Bogucki wpadł w nieumiarkowaną desperację, chociaż nie miał przy sobie dużo pieiędzy.

— Ale jak złodziej mógł wejść? — zaczął się zastanawiać. Ozwalała się w nim żyłka sędziego śledczego.

Podeszliśmy do okna. Bogucki wychylił się, rozglądając się naprawo i nalewo. Krata balkonu była tak blisko od okna, że przy pewnej zręczności łatwo było się dostać do pokoju.

— To tędy, — skonstatował Bogucki.

— Ależ pędźmy prędzej, zróbmy alarm, zawołałem, ubierając się, — obudźmy tego uczonego posługacza.

— Tego pan nie znajdzie!

— Jakto?

— No, bo to on nas obrabował.
I zasyczał z ironją.

— Pojedźcie teraz pokutować, do Rzymu. Sycieć głód nieznanym wrażeń.

— Niech pan nie rzuca oskarżeń, aż się pan przekona, — zawolałem z rozdrażnieniem.

Wyszliśmy na korytarz. Nowiejusz spał zwykle w małym pasażyku nad schodami. Miejsce to było puście.

— Mówilem panu, — tryumfował Bogucki.

— Idźmy obudzić przeora. Niech mnichy coś radzą. Przecież tu niema więcej nikogo.

Tymczasem w ogólnym pokoju, gdzie były tylko tapczany do spania, pobudzili się pielgrzymi i wysunęli na korytarz.

Stary pątnik potwierdził nasze podejrzenia.

— Ja tego ptaszka znam. On już raz okradł pielgrzyma w schronisku przy grobie św. Serafina Sarowskiego. To student, ojca ma urzędnika, a wódka go zgubiła. Pół roku wytrzymuje, a potem zapojem pije. Wtedy ojca, matkę zarżnie, żeby mieć pieniądze na wódkę. Złapaliśmy go, chcemy oddać policji, a on nam do ziemi się kłania, krzyżem świętym się żegna, przysięga: — Nie gubcie duszy, dajcie pójść do klasztoru, zginę w świecie. Puściliśmy go — ale czy taki wytrzyma!

— Taki skończy, jako bosiak gdzieś w porcie Odeskim albo w Moskwie na Chitrówce, — dodał sentencjonalnie inny pielgrzym.

Klasztor nie byłby w nocy reagował, policja była

daleko w mieście. Pościg był niemożliwy. Żli okrutnie wróciliśmy do łóżek. Bogucki wkrótce zasnął. Ale ja leżałem na wznak na mojem łóżku nawprost okna. Niebo świeciło srebrnymi gwiazdami. Przelatywały ciche letnie błyskawice. Zapach róż i jaśminu wpływał przesiąknięty świeżą rosą. Przeżywałem odnowa i odnowa upojenie pocałunku Wery tam, w miejscu stracenia. Wyjmowałem z serca, jak drogocenne klejnoty ze skrzynki, wszystkie zapamiętane jej ruchy, słowa, spojrzenia. Przypominałem kształt jej rąk, karnację twarzy, pasemko włosów, wystające z pod kapelusza.

Niewymownem szczęściem rozszerzała się pierś. Czems małem, nieważnem, niepojętem wydawało się cierpienie Dorna...

Nazajutrz w stroju, że tak powiem tenisowym piłem herbatę w numerze pań. Złożyliśmy naradę, jak zdobyć pieniądze. Wołyniccy mieli ledwo dosyć dla siebie. Zanimbyśmy zadeszowali do Dorna lub Cetnowicza i otrzymali przekaz, upłynąłby dzień. Byliśmy unieruchomieni.

Pani Ewelina przypomniwała sobie, że ma tu znajomego kupca, któremu mąż jej wyświadczył przysługę.

— Pójdę do niego, — mówiła, — żeby zaś wzbudzić w nim ufność kredytową, ubiorę się jak najwspanialej.

Narzuciwszy na siebie parę narzutek i spiętrzyw-

szy kilka kapeluszy jeden na drugim, skierowała się ku drzwiom. Zatrzymał ją przerażony okrzyk Marysi:

— Mamusiu, czy naprawdę mamusia chce tak wyjść na miasto?

Uśmieliśmy się i zajadliśmy śmiech winogronami, poczem nagle przypomniałem sobie.

— Ależ w Baczysaraju są nasi wspólnicy, Kantorowicz i Aładżałow... Cóż łatwiejszego...

— Aładżałow pojechał odwiedzić swoją rodzinę w Mcchecie, — powiedziała Wera, — ale Kantorowicz da, niema gadania! Niech pan się wybiera, a wraca prędko!

Pożyczyłem marynarkę od Wołynickiego podobniejszego do mnie ze struktury i udałem się do Baczysaraju.

Kiedy przyszedłem do sklepu firmy „Kantorowicz i Aładżałow“, spółnik nasz stał na środku. Oczki jego wyskoczyły na moje spotkanie z pod zaczerwienionych powiek, za nimi dopiero ruszył ociężały kadłub.

Trząśnął moją rękę pulchną, kwadratową dłonią i wpadł w wielką emocję, kiedy opowiedziałem o kradzieży. Sam natychmiast zaofiarował pożyczkę.

Nie puścił mnie, lecz zmusił wejść z nim do mieszkania, umeblowanego kosztownie, masywnie i bez gustu.

— Jaka szkoda, że żona moja kąpie się w Alupce, inaczej nie puścilibyśmy pani Dorn z Baczysaraju, zanimby nas nie odwiedziła.

I świdrując mnie oczkami, powiedział jakby od niechcenia:

— Pani Dorn to taka piękna osoba.

Widocznie nie umiałem pokryć wrażenia, jakiego doznawałem zawsze, ilekroć mówiono o Werze. Kantorowicz skinął głową z zadowoleniem.

— Już od pewnego czasu chcę pomówić z panem o pana spółniku.

— O Dornie? Proszę bardzo. To bardzo sumienny spółnik.

— O, bardzo.

Kantorowicz westchnął, aż kamizelka sfałdowała się na jego brzuchu.

— On jest zanadto sumienny, z nim nie można robić interesu. Niech pan pomyśli: taki złoty interes, jak ten z intendenturą. Przecie to ułożyć, puścić w ruch, a samemu choć można iść spać. Złoto przyplynie. To majątek, to dziesięć majątków. A innego młyna parowego niema do wzięcia.

Westchnął znowu boleśnie.

— Pani Dorn piękna osoba, uj, jaka piękna, — cmoknął ze smakiem, — ale pani Dorn lubi pieniądze. Ona głowę ma. Ona z nędzarzem żyć nigdy nie zechce.

— Dorn nie nędzarz. Żonie jego nie brakuje niczego.

— To też ona go nie rzuci. Bo co za interes rzu-

cać jednego bogatego męża dla drugiego? Ale jakby on bankrut był...

Słuchałem tego syku gadziny, syku nikczemnego i pokusiłowego. W głowie z jasnością przedziwną powstawały mi obrazy: Dorn zrujnowany, przynębienie Wery, nowe małżeństwo, które będzie dla niej wyzwoleniem. Dorn, który poświęciłby zawsze prędzej siebie, niż żonę, zszedłszy z jej drogi, gdyby miał wciągnąć ją w ruinę.

Kantorowicz wstrzymał trującą i czekał, zmrużywszy oczki, aż się rozejdzie po fibrach duszy.

— My z tego młyna Dorna musimy usunąć, — podjął po chwili, — wtedy ubijemy interes. Niech pan nam pomaga — będzie pan miał miliony. Ale Dorn musi być bankrut — inaczej on nie pójdzie stąd. On młyna nad Salgiorem nie rzuci.

— Jakże to zrobić?

— Pan cofnie swój kapitał, nasza firma cofnie zamówienia. Ja mam jego weksle skupione. Uderzyć odrazu, ogłuszyć. On zbankrutuje, a wtedy żonie wolność da.

— Jest pan pewny? A jeżeli żona nie zechce go opuścić w nieszczęściu?

Kantorowicz prasał się dłońmi w kolana i trząsł się ze śmiechu, jak gałaretka.

— Kto, ona? Miły przyjacielu, znam ją od dziecka. Miałem z jej ojcem interesa, córka moja chodziła z nią do gimnazjum. Ona głowę ma. Ona w dwóch po-

koikach z jedną służącą mieszkać nie umie. To dla niej nie życie.

Rozumowo oceniłem podłość tego planu, zbudowanego na mojej namiętności dla Wery, którą chytrze wypatrzył Kantorowicz. Ale uczuciowo nie mogłem się oburzyć. Mówię z całą ścisłością psychologiczną „namiętność“, bo inaczej nie mogę określić tego stanu tak silnego napięcia pożądania, że przechodziło w niepoczytalność. Nie nałożyłem w czas eugli na siebie, teraz nic już nie mogło mnie zatrzymać. Nie walczyłem w tej chwili z sumieniem, lecz ważyłem wszystkie możliwości, żeby nie przegrać gry. Uczyniłem postanowienie po odebraniu Wery postawić znowu Dorna na nogi. Ale wnet zrozumiałem, że nic wtedy odemnie nie przyjmie. A więc trudno! Rzuciłem się ślepo w pierwotną walkę o kobietę z jedyną myślą: zniszczyć przeciwnika.

Kantorowicz, jak gruby pajak, wysnuwał dalsze nicii potwornej swej pajęczyny. Wszystko się robi dyskretnie. On poruszy moich wierzących, żeby nagle uczynili run na moją firmę. To mi da pretekst do wycofania kapitału od Dorna. Wtedy on będzie musiał wstrzymać wypłaty. Poczynił teraz nowe inwestycje — nie spełni swych zobowiązań.

— Położymy go na obie łopatki, — zacierał ręce Kantorowicz, — on stoi na drodze, jak kamień. Trzeba go zrzucić.

— A czy spółnik pana, Aladżałow, zgodzi się na

takie... metody działania wobec pana Dorna? On go lubi.

— Kto? Aladżałow? On jeszcze więcej lubi żonę Dorna, — zaśmiał się Kantorowicz dowcipnie, — jak mu wytłomaczę, że ona może być do wzięcia...

— Ale jeżeli nie Aladżałow ją weźmie, może mieć do pana pretensję.

— Na to ja nic nie mogę, — rozłożył ręce Kantorowicz, — niech potrafi, jak inni.

Obejrzał mnie wzrokiem, pełnym aprobaty.

— Więc zgoda, miły przyjacielu?

— Jeszcze nie, — odpowiedziałem, krzywiąc się na tę nazwę, — muszę się rozpatrzyć w sytuacji, zbadać usposobienie niektórych osób. Gra jest przykra, niechże będzie warta świeczki.

— Niechże pan zbada, czy świeczka gotowa do zapalenia i da mi znać depeszą. Jedno słowo: Zgadzam się. Niementowicz. Przyjadę do pana i zaczniemy. Swoją drogą lepiej prędzej, póki Aladżałow w Mechecie. On miewa też wybryki szlachetności, jak Dorn. Ale pieniędzy, i to grubych pieniędzy nie można robić w rękawiczkach.

Mrugnął na mnie porozumiewawczo.

— I szczęścia nie można wziąć, jak nie ma się odwagi rozwalić przeciwnikowi głowy po drodze.

Wyrwałem się wreszcie od niego. Szedłem jak otruty szalejem. Towarzystwo moje zaraz spostrzegło ten dziwny nastrój.

Wera zręcznie potrafiła znaleźć się ze mną sam na sam na balkonie.

— Co panu? — zapytała, dotykając mojej ręki.

— Postanowiłem walczyć na śmierć i życie o szczęście moje, — powiedziałem, patrząc jej w oczy wyzywająco, — choćbym miał kogoś zdeptać po drodze. Szczęście nie zna podziału.

Zrozumiała. Spoważniała, spuściła głowę i łzy potoczyły się jej po twarzy. Powiedziała z nieskończonym smutkiem:

— Lela!

Schyliłem się i ucałowałem jej dłoń z szacunkiem. I chociaż to godziło w moje najszałejsze pragnienia, odwieczny instynkt polski ozwał się we mnie radością, że ukochana kobieta lepsza jest, niż przypuszczałem.

Poszliśmy na obiad do Bachczysaraju. W restauracji jedzono na podwórzu, w cieniu winogron, zwisających z kraty drewnianej, która, oparta na słupach, obiegała podwórze. Pośrodku szemrała fontanna. Piękne, ciemne grona wśród szerokich liści tworzyły tło nieprawdopodobne, widziane może na obrazach Odrodzenia, może w snach. I znowu szaszłyk, wino krymskie, biały chleb, owoce...

W powietrzu popłynął przyjemny głos muezzina, wywołujący trzeci izan z minaretu. Cisza spadła na miasto. I my mimowoli odłożyliśmy owoce.

Izan przebrzmiał. Wstaliśmy, żeby dalej zwiedzać

miasto. Po naradzie, skierowaliśmy się do pałacu chanów. Weszliśmy tam, z ciekawością, oglądając architekturę wewnętrzną, wzorowaną na Stambule, z cienkimi kolumnkami, z ozdobami z mozaiki.

Szczególniejszą naszą uwagę zwrócił oczywiście, harem, z różnokolorowymi oknami, z niskimi sofami wzdłuż ścian. Wchodziliśmy do sali, w której w ścianie wstawiona jest marmurowa fontanna, bijąca mnóstwem małych strug, jakby sznurami łez. Jest to fontanna łez, podobno tak samo, jak grobowiec w ogrodzie, postawiona dla oplakiwania utraty ukochanej żony Krym-Gireja, Potockiej, jak chce legenda.

Marysia weszła, deklamując:

— Jeszcze wielka, już pusta Girajów dziedzina!

Bogucki chwycił ją za rękę, przykładając palec do ust i wskazał nam smukłego oficera w uniformie rosyjskim. Stał, zwrócony do nas profilem przed fontanną łez. Rękę trzymał na szabli ze srebrnym chwastem. Twarz jego była pełna melancholji.

— Cicho, — szepnął Bogucki, który znał wszystkich, — to ostatni z Krym-Girejów!

— Na służbie u zwycięzców, — ozwała się Marysia z oburzeniem.

Panie patrzyły z niesłychanym zaciekawieniem na potomka chanów. Co myślał w tem miejscu młody Krym-Girej, ostatni ze swego rodu?

— Nam nie został nawet żaden potomek naszych

królów, — westchnęła Marysia, — choćby jaki Sobieski lub Leszczyński, choćby syn księcia Józefa!

Krym-Girej widocznie zauważył, że się mu przypatrujemy. Odwrócił się i, dzwoniąc ostrogami, wyszedł.

— Taką fontannę postawię u siebie w ogrodzie, jeżeli nie zdobędę ciebie, huryso! bo wieczny będzie płacz mojej duszy, — powiedziałem cicho.

— Co to pan deklamuje? — zapytała Lela, która dosłyszała, — to nie z Sonetów Krymskich?

— Nie pamiętam, z jakiego poety, — odpowiedziałem.

Wera rzuciła mi trwożne i niezadowolone spojrzenie. Kiedy wracaliśmy do Symferopola, usiadła daleko odemnie.

VII.

Przez parę dni pułkownik nie wychodził na leżak, bo pogoda była chmurna. Leżał w łóżku, przetrzymując bóle którejs tam rany czy kontuzji. Miła pielęgniarka czytała mu w wolnych chwilach, więc nie prosił przyjaciela o towarzystwo. Dopiero, gdy znów zawitała pogoda, wyszedł na leżak.

— A, dobrze, żeś przyszedł, — przywitał go przyjaciel, — naprawdę jestem ciekawy końca, wprowadziłeś do twojej opowieści tego złego ducha - kusiciela, Kantorowicza...

Pułkownik wyciągnął się kładąc ostrożnie na leżak lewą nogę i rzekł z przymusem:

— Widzisz, mnie to wszystko jeszcze zanadto wzrusza.

Przyjaciel uśmiechnął się dyskretnie.

— Może masz na to odtrutkę?

— Może i mam. A więc opowiadam. Wkrótce po naszej wycieczce Dorn przysłał po mnie konie. Achmet był tak ponury, że nawet nie przywitał się ze mną.

— Cóż ci jest? — zagadnąłem go.

— Surum - Bek ma dom, barany, winnice. Achmet nie ma. Surum - Bek uprowadził Dżarydę. Zapłaci dwadzieścia baranów. Achmet nie ma ani jednego.

Zacząłem go pocieszać, ale altrizmu mego nie wystarczyło, aby dać mu pieniędzy na dwadzieścia baranów i być sprawcą szczęścia dwojga ludzi. A suma ta nie była tak wielka dla mnie w owych czasach. Nieraz wyrzucałem tyle w jedną noc hulanki, kiedy szukałem zapomnienia. Bo Wera wciąż zachowywała się opornie. A jednak nie ukrywała już swej miłości dla mnie.

Kiedy przyjechałem, Dorn wyszedł na moje spotkanie.

— Zobaczysz pan coś bardzo egzotycznego, — powiedział.

Zdaleka, od strony wioski tatarskiej zbliżał się głos dzikiej piszczałki i bębena. Wkrótce ukazała się grupa mężczyzn. Tatarzy byli ubrani odświętnie, za nimi szło kilku muzykantów w sukniach łątanych, z instrumentami.

Skierowani przez lokajczyka - Tatarzynka, weszli od podwórza, do jadalni. Były to swaty Surum - Beka, rolnika z wioski w dole, który przysyłał zaproszenie do sąsiada na wesele.

Najstarszy swat wystąpił z tacą, na której stał napój różany, konfitury z róż i jeszcze jakieś wschodnie smakołyki. Dornowie musieli tego skosztować na znak, że przyjmują zaproszenie. Potem posadzono gości

przy stole, a muzycanci usiedli na podłodze przy drzwiach i rozpoczęli dziką, smętną muzykę. Podobna była. do wycia wichru w śród skał, do ryku zwierzęcia drapieżnego, rzucającego się na trzodę, do wybuchu nieujarzmionej namiętności, do tupotu trzody i grózb mściwych—i krwawych ciosów. Wyla w niej tęsknota stepu i rozpacz niewolnika. Rozpętanie orgazmu i okucie niewyzwolonej tęsknoty duszy nie znającej prawdy jest w piersiach wielu ludów wschodnich. Zostało dotąd w pieśniach żydowskich, rzucających czasem w sam środek polskiego miasteczka w dzień szabasu swe wyjące śpiewy, jak potworny cień chandry i nieukojonej melancholji tych, co nie żyją w miłości.

Wera wyszła na chwilę, bo jej się zaczęło robić źle od tej muzyki. Wróciła, gdy wniesiono do jadalni ogromny półmisek pilawu i wino czerwone. Zaczęto częstować gości. Nie zapomniano i o muzykantach, siedzących wciąż ze skrzyżowanymi nogami na podłodze i podano im potrawę na talerzach.

— Poproś może Irenę Konstantynównę, — powiedział Dorn do żony.

— Poproś sam, — skrzywiła się Wera.

Dorn wyszedł i wrócił z młodą osobą, czarnooką, czarnowłosą, ładną urodą zbyt rzucającą się w oczy, jak u wszystkich kobiet południa. Tam kobiety są, jak jaskrawe oleandry, i nie wiedzą, co to są „barwy troszeczkę bladawe“.

— Irena Konstantynówna Chamaryto. — przedstawił Dorn.

Panna Chamaryto żywo zajęła się Dornem, a ja zapytałem po cichu Werę:

— Co to za okaz?

— Kapitan Kasjanow prosił, żebyśmy jej wynajęli na parę tygodni pokój na górze. I przysłał ją właśnie wtedy, kiedy byliśmy w Bachczysaraju. Wyobrażam sobie, jak musiała atakować mego biednego męża, ściagała go aż między workami z mąką, jak opowiada moja pokojowa.

Zaśmiała się z pustotą.

— To wybieg strategiczny Kasjanowa pośród polowania na mnie. Mąż mnie zdradzi, to może mu zechcę oddać z nawiązką. Ale Feliks woli młyn od kobiet. A sugestyjna, co? — zapytała, widząc, że się przypatrują pannie Chamaryto.

— Sugestyjna, — powiedziałem jej na złość, nie odrywając oczu od Greczynki.

Wera zarumieniała się i oczy jej błysnęły gniewnie. Aby podrażnić Werę przysunąłem się do panny Chamaryto i zacząłem z nią flirtować na dobre, aż pocziwy Dorn odciągnął mnie pod jakimś pretekstem do drugiego pokoju.

— Panie Jerzy, pluń pan na tę osobę, z pół Symferopola opowiada sobie o niej nie wiedzieć co. Była czynna i w wojsku, i w cywilu. Ona pana oplączy, że nie wyrwie się pan z sieci. Żeby pan wiedział, co ona

tu za obławę urzędowała na mnie bez żony... Aż wstyd mi powtarzać szczegóły. Jak żenić się, to tylko ze swoją.

— Niema tu dla mnie odpowiedniej panny.

— Po co pan ma się śpieszyć? Jeszcze czas. Podrośnie dla pana Marysia Cetnowiczówna. Ożenimy pana.

Zrozumiałem w tej chwili, że właśnie Marysia Cetnowiczówna byłaby odpowiednia dla mnie, gdybym nie znał Wery.

Ale znalazłem już Werę i nic na razie nie mogło mnie wyratować.

Swaci Surum - Beka odeszli w końcu. Przeszliśmy do salonu. Panna Chamaryto, która miała naprawdę wspinały sopran, zaczęła nam śpiewać cygańskie romanse.

Wyszedłem przed dom. Na niebie południowem błyszczały gwiazdy, jak małe słońca. W dole nad Sał-girem trzymał straż nieskończony szereg topoli włoskich, jak olbrzymie kolumny. Od strony młyna dolał cichy szelest leszczyny, przerywany czasem uderzeniem orzechów o ziemię. Szelest zapomniany, przywiany z daleka.. Pachniały upajająco jaśminy i róże. I zanosila się, łkała, wyskakiwała sercem z piersi, rwała się ramionami naprzód nieprzytomna tęsknota, wołanie oszalałej miłości w pieśni cygańskiej panny Chamaryto:

Co za księżyc, za noc,

Kiedy czekam na niego...

Księżyc cicho odbywał swój bieg okrężny nad fa-listą linią gór. Oto stanął nad Czatyrdałem. Oświecił kształt olbrzymiego dachu od zapadłej w ziemię budowli..

O, powiedz, najdroższa, jakimi losami

Mam kupić twą miłość bezcenną...

Czy oddać mam życie z tęsknotą bezdenną?...

Wywodził lento głos śpiewaczki, targając wszystkimi strunami tęsknoty, które napięły w duszy noc i południe...

— Pan tu, panie Jerzy? — usłyszałem koło siebie głos. I Werę śpiewu czar popędził do mnie.

Odjąłem ręce od twarzy. Miałem oczy zalane gorącymi łzami. Chwyciłem ręce Wery.

— Musisz spotkać się ze mną. Musisz.

— Oszalałeś. Lela.

— Oszalałem. Spotkasz się ze mną w gaju dębowym. Bo krzyknę wszystkim, że jesteś moja. Powiem zaraz Feliksowi, że zabieram ciebie na własność.

— Dobrze, już dobrze. Najzwyczajniej w świecie pójdziemy tam razem na spacer. Przyjdź jutro. Pierzchnęła odemnie.

Nazajutrz istotnie poszliśmy w góry. Sami, bo Lela była u Marysi w mieście, a panna Chamaryto już przedtem zniknęła wśród winnic i ogrodów z oficerem, który przyjechał ją odwiedzić.

— Ładne rzeczy dzieją się u ciebie w domu, — zauważyłem z tego powodu.

Wzruszyła obojętnie ramionami.

— Tak wszyscy tu żyją. Nie my urządziliśmy ten świat, nie my go zmienimy.

— A jednak ty tak nie żyjesz.

— Bo mi się dotąd nikt nie podobał.

— Ale mówisz, że ja ci się podobam.

Milczała przez chwilę.

— Dziecko. Mówiłam ci. Ja nie mam przesądów. Coby to Feliksowi szkodziło, gdyby o tem nie wiedział? Ale nie uwierzysz: dziecku nie będę mogła patrzeć w oczy.

— A jeżeli dziecko też nie będzie wiedziało? Nikt nie jest tak podły, żeby opowiadał takie rzeczy dzieciom. Dzieci zazwyczaj nie wiedzą.

Ale Wera szła obok mnie w milczeniu, nie przekonana. Doszliśmy do gaju dębowego. Na polance w gęstej trawie różowiły się olbrzymie piwonje polne. Wyłatywały z nich szerszenie, złote od pyłku nasiennego. Sztywnie powycinane liście dębów krzywymi linjami odcinały się na ciemnym szafirze.

— Wero, ukochana, daj mi znowu usta, — jak w Czufut-Kale, — błagałem.

Ale Wera nie chciała. Pociągnęła mnie za sobą w górę. Szliśmy ścieżką skalistą. Wiatr targał biały szal na jej smukłej postaci.

— Tu jest pieczara pełna numulitów, — powiedziała.

Istotnie w skale wapiennej, zwróconej w stronę Czatyrdahu czerniał szeroki otwór. Zajrzeliśmy w głąb. Ujrzeliśmy tam parę ludzką, trzymającą się za ręce. Poznałem Achmeta i Dżarydę.

Rzuciliśmy na nich cień — odwrócili się z przestraszeniem. Kobieta wypadła z pieczary tak szybko, że o mało nie straciła mnie z wąskiej ścieżki w przepaść. Achmet wyszedł za nią. Poznał nas, uśmiechnął się zażenowany i krzyknął za uciekającą dziewczyną coś uspokajającego, poczem ta stanęła, obciągnęła czadrę i poszła wolniej.

— Aj, Achmecie, — pokiwałem głową — i to tak w przeddzień ślubu! A jak Surum - Bek złapie ciebie albo Dżarydę?

— Nie złapie, — zaśmiał się Achmet, — dziś piątek, poszedł do meczetu. I on na jajłę nie chodzi. — Ja nie czaban, — powiada, — bachczy tu nie ma, winnicy niema, studni niema. Tylko głupi tu chodzi. Głupcy tu łążą, bo im Allah w głowie pomieszał.

Nie wiedzieliśmy, czy przyda się tu prawienie moralów. Nie czuliśmy oboje prawa do występowania w roli sędziów.

— Prędko już po pana do miasta jechać trzeba, powóz muszę oczyścić, — powiedział Achmet i zaczął się spuszczać z góry, żeby przerwać niezręczność naszego milczenia.

Weszliśmy do pieczary. Powietrze w niej było rozedrgane upojeniem. Z ciemnych zakątków wstawały obrazy Achmeta i Dżarydy. Niesłyszalnie grała muzyka miłości.

Wera podniosła duży numulit, pokazując mi go. Ręce nasze się spotkały. Pękały wszystkie tamy, wszystkie myśli zapadły się w złotą przepaść, wirującą tęczowemi mgławicami. Żaden głos prawdy nie zawołał już na nas, gdy Wera się znalazła w moich ramionach...

Wyszedłem z pieczary pierwszy i stanąłem na wąskiej ścieżce nad przepaścią. Zerwał się wichur od Czatyrdahu, wysrebrzonego w tej chwili oddalą i odblaskiem chmur srebrno-białych. Owiął mnie potężnie i rzeźwo, zwił ze mnie żar i zapamiętanie. Grał mi w uszach reminiscencją innego życia, wołał i budził...

Kto mówił kiedyś w życiu, we wczesnej młodości tę strofę:

I weź na skrzydła, skrzydła twe wichrowe

I nieś mnie w dale, w dale szafirowe

I mów mi twoim przepotężnym świstem

O czemś przeczutem, nieskończonem, czystem.

Poczułem głęboki upadek mój. Ale nagle gorąca dłoń ujęła moje ramię. Wera stała przy mnie z wyrazem dosytu i szczęścia na twarzy. Jakże czerwone i wilgotne były jej wargi...

Zwycięsko zaśmiało się we mnie życie. Brać szczęście, nie oglądając się na nic...

Zeszliśmy z gór. Na podwórzu willi stał Dorn, który wrócił z miasta. Otaczało go stado indyków i kaczek, gulgocząc i kwacząc radośnie. Rzucał im ziarno. Zdaleka wyrывał się ku niemu pies, przytrzymywany przez lokajczyka, żeby nie płoszył ptactwa. Baranek szukał w jego dłoni chleba. Białe króliki zręcznie przemykały się ku niemu. Wreszcie ze stajni wyszedł piękny koń, koloru kawy z mlekiem, z białym ogonem i grzywą. Był chory na kopyta. Rżąc pieszczotliwie, kładł głowę na jego ramieniu i wpatrywał się w niego czarnemi oczami.

Od ogrodu rozległ się głośny pisk: — Tatuś przyjechał, — i wbiegła Lela, płosząc zwierzęta i wpadając prosto w ramiona ojca.

— Jego wszyscy lubią, — powiedziałem z poczućciem winy.

Wera roześmiała się lekko.

— I ja go lubię. Jak on tego dużego, łagodnego konia.

I serdecznie przywitała męża, gdy podszedł do niej.

— Poczułem piekło zazdrości. Teraz z kolei pójdzie w ramiona Dorna. Dusila mnie ta myśl, jak wąż owinięty dokoła szyi, rozsadzała czaszkę, jak płynny olów, wlany do mózgu...

Układałem w myśli depeszę do Kantorowicza. Ale

weszła Marysia. Przywitała się ze mną i słuchała huk-
ku i turkotu młyna.

— Ten młyn wiele również mąkę dla Polski, —
powiedziała, — Dorn zrobi jeszcze dużo dla kraju, zo-
baczy pan. A co pan myśli zrobić dla Polski?

...Nie posłałem depeszy tego wieczora.

Telefonicznie proszono nas na wieczór do Papada-
to. Pojechaliśmy tam we troje. Papadato był chmur-
ny i zdenerwowany. Parokrotnie odezwał się opry-
skliwie do pani Zoe i nie spuszczał oka z kniazia, któ-
ry w swej białej czerkiesce był piękny, jak sen połud-
nia.

Dornowie odjechali wcześniej, gdyż pan Feliks o
czwartej rano miał puścić koło (niedawno były de-
szcze) i zacząć mleć partję pszenicy na kaszę.

Siedziałem przy kieliszku wina w salonie. Panna
Chamaryto śpiewała romans przy fortepianie. Pani
Zoe od paru chwil ulotniła się z pokoju, za nią wysu-
nął się kniaź Gamzagurdi.

— Ten to gra, — wskazał mi głową Papadato
Glenowicza, urzędnika banku. Był to sympatyczny
i inteligentny człowiek. Kontrybucje po powstaniu
zjadły majątek na kresach jeszcze jego ojca. Musiał
poszukać chleba na obczyźnie. W obcym środowisku,
wśród pustki jałowego innobytu rozwinęła się w nim
namiętność do kart. Żona jego, blada, skromnie ubra-
na z niepokojem patrzyła, jak wir hazardu topił w jej
mężu pamięć i wolę.

— Za co on gra? — ciągnął dalej Papadato, bez
ustanku przegrywa. Że przegrywa, na twarzy jego
żony napisano. Proszę patrzeć, nie ma na sobie już ani
jednego klejnotu. A kiedy przyjechali, nosiła zawsze
staroświeckie, ciężkie broszki i łańcuszki.

— Pewnie mają jeszcze resztki swojej fortuny,
ozwałem się, żeby odwrócić podejrzenie od roda-
ka.

— Jabym człowieka, który tak gra, nie trzymał
nigdy, jako prokurenta mojej firmy, — odezwał się
krytycznie bankier — Karaim.

Papadato od paru chwil był niespokojny. Odsunął
kieliszek, rozlewając wino, nie zauważył tego nawet
i śpiesznie wyszedł do bocznego pokoju.

Wspaniałe dywany kaukaskie tłumią jego kroki,
— myślałem z sercem silnie bijącym, będzie nieszcze-
ście, będzie nieszczęście...

W tej chwili z dalszych pokojów wypadł dziki
krzyk, jak pocisk rozpryskujący się i uderzający na-
raz we wszystkie piersi. Śpiew zamarł przy fortepia-
nie. Wszyscy wstali bladzi. Poszedłem pierwszy z de-
terminacją. Glenowicz niechętnie ruszył się i szedł
z kartami w rękę, za nim inni gracze. Za mną kroczył
oficer żandarmerji Chartulari.

Wpadliśmy tam, tłocząc się. Papadato leżał na nie-
bieskim dywanie, a dokoła rozszerzała się kałuża krwi.
Człowiek leżał już martwy, a krew ta jeszcze żyła
i ruszała się.

Gamzagurdi stał blady, z rozdetymi nozdrzami i trzymał w ręku kindżał. Krople krwi spadały z niego na glansowane buty zabójcy. Powiedział dziko:

— On mnie uderzył. Mnie, udzielnego kniazia, nikomu bić niewolno.

Pani Zoe wyszła z osłupienia i zaczęła lamentować głośno, z krzykiem, jak kobieta z ludu. Współczesna Greczynka nie miała już w sobie piękna i posągowości ateńskiej i manieri Ifigenji zamieniła na manieri byle Agrafteny.

Chartulari odebrał kindżał kniaziewi i wyszedł do drugiego pokoju. Papadato podniesiono i położono na otomanie. Już nie można się było go docucić. Cios trafił w samo serce.

Weszła policja, aresztując kniazia. Pani Zoe rzuciła się z wyciem i oplotła go rękami.

— Nie dam go nikomu, nie dam, — krzyczała z dzikim przerażeniem — pójdę za nim.

— Pani choćby na męża spojrzała, — rzekł cierpko rewirowy, — pogrzebem kto się zajmie?

Pani Zoe zrozumiała, że wszyscy czekają od niej innego zachowania się, że w tej chwili opinia jest nie po stronie kniazia i nie po jej stronie. Odstąpiła, cicho płacząc, ale nie spojrzała na trupa męża.

Kniazia wyprowadzono. Rozproszyliśmy się wszyscy z tego domu. W salonie na stołach poprzewracano w nagłym poruszeniu kieliszki i patery z owocami, na zielonych stolikach leżały rzucone karty i zapo-

mniane monety. Wychodząc, powtarzano sobie to, co pani Zoe zdążyła powiedzieć przyjaciółce: Papadato zastał ją w objęciu kniazia i uderzył go w twarz.

— Dorn mówił, że z tego nie będzie nic dobrego, — ozwał się Kasjanow, naciągając szynel.

— Dorn zawsze ma słuszość, — potwierdził ktoś z przekonaniem.

Wracalem pustymi ulicami. Blady świt już się budził, smugi jasno-żółte przekreślały wschód tuż przy linii widnokregu, który ukazywał się u wylotu ulicy, wychodzącej na puste place. Przypominałem sobie, jak wychodząc od Papadato w drzwiach spotkałem Glenowicza bladego z twarzą wzburzoną i zdesperowaną, z rozrzuconemi włosami.

— Nie zdążyłem się odegrać, — mówił do żony, — co będzie jutro! Takiego Gamzagurdiego, który rozbija wieczór ludziom zebranych w towarzystwie, warto powiesić!

— Uspokój się, kotku, — mówiła łagodnie żona, — Gamzagurdi jest teraz nieszczęśliwy. Jutro odegrasz się w klubie.

Glenowicz zatrzymał się gwałtownie.

— O czym? Może ty trzymasz pieniądze w banku, bo z mojej pensji nie zostało ani grosza. Wszystko ten Gamzagurdi!

Odeszli zgarbieni, przygnębieni.

Jak postąpiłby Dorn, gdyby zastał mnie z Werą? Spojrzałem na zegarek. Czwarta. Dorn wstaje do cięż-

kiej swej pracy. Może Wera się obudziła — może odchodząc, całuje ją ciepłą i rozespaną.

Szarpnęłam się. Wera musi być przy mnie. Po co tu czekać, aż przyjdzie chwila nieostrożności i może wyniknąć dzika, głupia tragedia, kiedy Dorn mnie znieważy, a ja się rzucę na niego? Usunięcia Dorna dokona sam splot warunków. Trzeba go tylko inscenizować.

Poszedłem na telegraf nocny. Ręka mi drżała, kiedy na blankiecie pisałem depeszę do Bachczysaraju...

VIII.

Rano służąca Cetnowiczów przyniosła mi kartkę, w której Cetnowiczowa prosiła mnie wstąpić do niej.

Póki pisałem odpowiedź, Barbara trajkotała nademną.

— Pani nasza jak nienormalna. A kto winien? Pan winien. Bo żeby mieć żonę jak należy, a włóczyć się za takim czuczelem, za szwaczką. I choćby ładna i młoda... A to zdechła jak szkapa trzydziestoletnia, żółta jak cholera, zęba z przodu ani jednego, nasz pan jej dał na wstawienie sto rubli. Po obiedzie mówi, że do pałaty idzie. Marysia płacze: Tatuś się dla nas zapracowuje, niech Tatuś odpocznie! — A on się zapracowuje z tą lafiryndą na bulwarze albo u niej w mieszkaniu. Spaceruje z tą cholera. Ani miasta się wstydzi.

— A Barbara niech lepiej nie rozgaduje. Nie każdy wie o tem.

— Co ja mam rozgadywać, kiedy pan sam codzień teatrę ze siebie daje w ogrodzie miejskim. Wie i

szwajcar z Pałaty, gdzie pan służy — przychodził do pana z papierami i śmiał się do mnie. Tylko patrzeć dnia, że Marysia się dowie. Tfu, obraza boska! Z domu dla niej wszystko wynosi. Upiekła pani babki takie dobreńkie — aż tu jedna jak w wodę wpadła. Szukamy i szukamy — aż ja patrzę w kieszeni panowego palta pół babki sterczy, a z drugiej kieszeni drugie pół. Pani posmutniała: — Zostaw, Barbareczko, — mówi, — nie ch tam! Żeby to co pani swemi rękami robiła, tamtej dziewczce wynosić! Że w nią piorun nie trzaśnie!

Zasapała się. Wiedziałem już od pewnego czasu o tej bolączce Cetnowiczów.

Jeszcze jeden fakt rozkładu, który wносиła do rodziny Rosja. Ten sam Cetnowicz, póki był adwokatem w Mohylowie nad Dnieprem, odznaczał się przykładną wiernością, był inteligentny, interesował się sprawami narodowymi, bywał w najlepszym towarzystwie miejscowem. Teraz unikał towarzystwa polskiego, które stawiało swym członkom pewne wymagania moralne i umysłowe — nawet tutaj. Dlatego żona jego, nie wizytując domów polskich razem z mężem, nie mogła zebrać u siebie odpowiedniego towarzystwa.

Po południu poszedłem do Cetnowiczów. Przechodziłem przez ogród miejski. Cicho szeptały pierzaste akacje. Kołysały sumienie, nawiewały sny o szczęściu. Na klombach stały w wazonach kamiennych olbrzymie agawy.

— Kwiaty, które raz na sto lat rozkwitają kwiatem precudnym, — myślałem, jak miłość nasza, jak miłość nasza. Na stulecia jedyna i niezrównana...

Na ławce w ustronnej alei siedział Cetnowicz z jakąś damą. Domyśliłem się, że to owa szwaczka, na którą tak piorunowała Barbara. Cetnowicz miał wyraz twarzy tępy jakby ukołysany jednostajną melodją harmonji rosyjskiej. Zdawało się, że jest mu dobrze w tym stanie, w którym nikt nie wymagał od niego wysiłku ani moralnego, ani umysłowego. Stał się sumienną maszyną, biurową do podpisywania papierów i inkasowania dużej pensji dwudziestego każdego miesiąca. Tych zamaryłych, zmumifikowanych biurokratów. ideowa inteligencja rosyjska ochrzciła nazwą „czynownik dwadcatowo czysła“ — urzędnik od dwudziestego. Nie walczył o żadną prawdę. Nie oburzał się na straszliwą krzywdę świata. Wegetował, szukał istoty, przy których mógł wegetować.

Jego szwaczka, dość wystrojona — o, znacznie elegantsza od pani Cetnowiczowej — nie pozbawiona była pewnej dystynkcji, tak rzadkiej u Rosjanek. Wyniosła ją pewnie z domu pani Eweliny, gdzie szyla przez szereg lat i była obsypywana dobrodziejstwami, aż zamknięto przed nią drzwi, pogarszając tylko sytuację domową. Chociaż powiedz, gdyby pani Ewelina ją tolerowała przez spryt praktyczny i zamykała oczy, gdzieby się podziela reszta moralności? W Rosji nie brak było faktów, zwłaszcza wśród artystów, litera-

tów i działaczy socjalistycznych, kiedy ktoś miewał po trzy żony. Bardzo znany literat rosyjski żył w bigamji, znana literatka rosyjska miała dwóch mężów, z którymi zawsze razem jeździła, a jeden z nich był pisarzem wszechświatowej sławy. Wszystkie te historie przywoził z Moskwy Deszke, ocierający się o świat sztuki. Naśladowaliśmy i my te przykłady. Mówi się dużo o powojennym rozkładzie rodziny. U nas jestem pewien, znaczną część tego zjawiska należy przypisać reemigrantom z Rosji, naszym konkwistadorom handlu i przemysłu, których nie patryjotyzm, a bolszewizm przypędził z powrotem do kraju i którzy dotąd wzdychają do złotego runa opuszczonej Kolchidy.

Cetnowicz udał, że mnie nie widzi, chociaż jego pies, czarny jak węgiel, pudel Karo, żyjący w śmiertelnej nienawiści z białym Milusiem pani Cetnowiczowej podbiegł do mnie w susach wesołych.

Przyszedłem do Cetnowiczów. Otworzyła mi Barbara, uśmiechając się szeroko swą pocziwą litewską gębą.

— Ot i dobrze, że pan przyszedłszy. Pani nasza siedzi, zasmuciwszy się, jak kura na deszcz.

Pani Cetnowicz siedziała przy oknie w długim kaftaniku batystowym, skulona, zarzuciwszy w tył rękę z papierosem. Patrzyła przez okno. Wyraz jej twarzy wyrażał smutek tak beznadziejny, że ścisnęło mi się serce. Musiała chyba miewać napady melancholji.

— Dobrze, że pan przyszedł, — uśmiechnęła się do mnie, budząc się z odrętwienia, — zaraz powinna wrócić pani Glenowiczowa.

— Wrócić — skąd?

— Od sędziego śledczego. Męża jej zaaresztowali.

— Za co?

— Defraudacja w banku. Podejrzenie padło na Glenowicza, bo grał w karty. A on całkiem niewinny, rękęby sobie uciąć dała, że tak jest.

Stał mi w oczach Glenowicz, trawiony złą gorączką hazardu przy zielonym stoliku, a potem z ociąganiem, z kartami w ręku idący na głos cudzej tragedji...

Teraz tragedia spadła na niego, o ile tragedją nazwać można ten cios pospolitości, uderzający brutalnym obuchem. Wzdrygnąłem się.

— Najgorszym cierpieniem jest brzydota. Ile brzydoty jest w tej całej historii.

— Proszę pana, — westchnęła pani Ewelina, — ileż brzydoty bywa czasem w tem, co namiętność nam wymaluje tęczami witrażów.

Nalała sobie szklankę piwa z butelki, która stała przed nią i wypila.

— Pan pomoże tej biednej Glenowiczowej, poradzi jej pan, — mówiła, — Dorn za miastem mieszka, jemu trudno.

— Własnych spraw mam tyle na głowie.

— A nieładnie, wszyscyśmy rodacy. Trzeba po-

móc w nieszczęściu. Każdy ma sprawy. A pan sam sobie szefuje w swojej firmie — panu wyjść łatwiej niż temu, kto jest na urzędzie.

Chciałem jednak odmówić, ale we drzwiach ukazała się Marysia, niosąc stos książek i zeszytów. Widocznie miała być lekcja. Pośpieszyłem ku niej, aby pomóc jej dźwigać książki.

— To już książki z ofiary pana, — powiedziała z prześlicznym spojrzeniem.

— No, i jakże, zajmie się tem pan? — dopytywała się pani Ewelina.

Chciałem odmówić, ale nie mogłem pod wzrokiem Marysi.

— Trudno mi będzie, ale już zrobię to dla pani, — zgodziłem się niechętnie.

Marysia uśmiechnęła się do mnie wdzięcznie i wyszła. W ogródku już słychać było szczebiot dziecięcy.

— Pani coś melancholizuje, — ozwał się do pani Eweliny przyjaźnie.

Podniosła na mnie oczy zmęczone.

— Straszliwa jest samotność człowieka na ziemi.

— Przecież Marysia...

— Mój panie, czy ja Marysi o sobie opowiadać mogę? Kobieta potrzebuje w życiu oparcia, aby iść wyżej. Niech sobie będziemy bluszcze, powoje, ale to

fakt. I jeżeli się traci wiarę w tych, którzy mieli nam być oparciem...

Siedziała, kołysząc głową monotonnie i ruch ten stawał się nie do zniesienia, poprostu zaczynał rozdzierać serce. Pani Ewelina powtórzyła jeszcze.

— Straszliwa jest samotność człowieka na ziemi. Okropnem jest podpiierać innych, a nie być podpartym samemu.

— Niektórzy szukają podpory w religji, — powiedziałem bez przekonania, nie znajdując innej pociechy.

— Po całej szerokiej Rosji rozwiała się moja religja po kawałeczku. Uschłych gałęzi nic nie ożywi. Już nie zazielenią się, nie zakwitną.

Przyszli Wołyniccy. Zaczęto żywo opowiadać o aresztowaniu Glenowicza.

— Boguckiego pani prosiła, żeby się wstawił do prokuratora?

Pani Wołynicka zarumienila się i zawahała z odpowiedzią.

— Ja prosiłem dziś podczas obiadu, — odpowiedział za nią mąż, — ale ten karjerowicz odmówił, bo czyż on może się wstawiać za rodakami! Byłoby źle widziane, bo prokurator Moskal zabity, dopiero przyjechał z Piotrkowa. Jemu niewiele pomogę, a sobie zaszkodzę w osiągnięciu stanowiska, na którem będę

mógł dobrze czynić swoim, nie oglądając się już na nikogo, — mówił do nas. Tak, żono.

— A ty się zawsze cieszysz, jak wynajdziesz w bliźnim jakąś słabość — rozniewała się pani Wołynicka, czuła na opinię Boguckiego.

Szczęściem zabrzmiał dzwonek, jak głos alarmu i nieszczęściem przyszła pani Glenowiczowa, nienaturalnie energiczna, wojowniczo gotowa bronić niewinności męża, ale od czasu do czasu blednąca i mieszająca się na myśl, że w tę niewinność mogą nie uwierzyć.

— Powiadają, że mąż mój musiał przegrywać cudze pieniądze, — mówiła z nienaturalnymi wypiekami na twarzy, — bo jego pensji nie starczyłoby na grube stawki przy hazardzie. Ale o tem ja tylko wiem, że starczyło. Wiedzą o tem ręce moje...

Pokazała nam ręce zniszczone od obierania kartofli, szorowania rondli, szycia. W jaki sposób nikt tego dotąd nie zauważył? Przypomniałem sobie, że w towarzystwie często zostawała w rękawiczkach, albo trzymała w ręku chusteczkę do nosa. Ta cicha, nieśmiała kobieta zabrałaby do grobu tajemnicę swej ofiary dla męża, gdyby nie musiała jej wyjawić w jego obronie.

— Zamećtać się poto, żeby mąż mógł grać w karty! — zawołała pani Wołynicka. — jabym rzuciła takiego!

— A gdyby go pani kochała?

To proste pytanie zmieszało wszystkich.

— Duszy tu na obczyźnie niema czem nakarmić, — mówiła pani Glenowicz, — bawią go karty—niech się bawi, dopóki to szkody nikomu nie przynosi.

— Pani pierwszej przynosi, — nastawała pani Wołynicka.

— To już moja sprawa.

— Żona Oskara Wilde'a porzuciła go, gdy zaczął się haniebny proces. Każdy panią rozgrzeszy, jeżeli pani nie zechce dźwigać hańby z człowiekiem, który sam ją ściągnął na siebie przez zgubny nałóg.

— Opuścić w nieszczęściu? — zapytała pani Glenowicz z najwyższem zdumieniem.

Wołynicki popatrzył na nią wilgotnym wzrokiem.

— Pani nie zapomniała swego dworku rodzinnego w Wileńszczyźnie, — powiedział do niej serdecznie, — nie zatraciła pani w tym obcym świecie swojej „parafjańszczyzny“, jak powiedziałyby Bogucki.

— Co ty się czepiasz tego Boguckiego, — odezwała się pani Wołynicka z rozdrażnieniem.

Patrzyłem na tę skromną pracownicę, która nie umiała w towarzystwie ani błyszczeć, ani komukolwiek zaimponować. Była zawsze, jak zgaszona i w rzadkich chwilach, kiedy byli sami Polacy i mówiono o czemś dobrem lub wspominano Ojczyznę, podnosiła z pod długich rzęs ogromne niebieskie oczy, które zaczynały mocno błyszczeć i wtedy cała jej nikła twarz nabierała piękna i wyrazu.

Porównałem z nią Werę, od której wychodziły i do której wracały wszystkie moje myśli. Czy ona wytrwa przy Dornie w nieszczęściu, jak ta nic nie znacząca kobieta? Przecie cały mój podły plan był osnuty na pewności, że nie wytrwa. Poczucie wewnętrzne mówiło mi, że tak będzie i i zapewniał mnie o tem Kantorowicz, który znał ją od dziecka.

Egoizm Wery był rękojmią mego szczęścia, a jednak poczułem do niej żal, że nie jest podobna do Glenowiczowej, że potrafi tylko przyjmować ofiary i wymagać ich kapryśnie, ale jest jej nieznane trudne i bolesne szczęście poświęcenia... Jeżeli sprzęgnę z nią życie, a uderzy we mnie jakiś cios...

Omówiłem z panią Glenowiczową, dokąd jutro pójdziemy i jak pokierujemy sprawą i poszedłem do siebie. Zbliżała się godzina, kiedy przychodził pociąg z Bachczysaraju.

Wkrótce po moim powrocie do domu zjawił się wprost z dworca Kantorowicz. Był zadowolony i zadowolony. Miał na sobie garnitur z surowego jedwabiu. Na kamizelce rzucał się w oczy gruby łańcuch złoty od zegarka. Trząśł moją dłoń dłońmi lepkiem od potu. Wydało mi się, że to śliskie macki głowonoga, który oplątuje mnie i Dorna.

Kantorowicz rzucił się na fotel i położył na kolanach tekę z krokodylęj skóry. Otworzył ją i zaczął wyjmować weksle. Kładł je na mojem biurku jeden

po drugim. Zdawało mi się, że lekkie papiery są płytami z metalu, które przywalają mi piersi, że nie odetchnę już nigdy...

— Niech pan przejrzy — tu są kontr-weksle moich zaufanych ludzi, a te weksle pan podpisze. (Są antydatowane, bo przygotowane już dawno). A tu są listy pana wierzycieli, przypominające termin płatności i grożące protestem w razie niedotrzymania tegoż, gdyż prolongata jest absolutnie niemożliwa.

— No, no, jako to pan wszystko elegancko przygotował! Więc kiedy oznajmię Dornowi, że wycofuję kapitał, pan zaanuluje ostatni obstalunek i wymówi dalszą współpracę?

— No, ja nie czekałem na pana. Uspokoi się pan po zabójstwie Papadato i znowu się pan rozmyśli. Ja natychmiast po otrzymaniu pańskiej zgody telegraficznie zaanulowałem ostatni obstalunek.

Scierpłem na tę wiadomość, Wszystkie krew boleśnie i męcząco zbiegła mi do serca. Kości były rzucone. Trudno było się cofnąć.

— Dlaczego pan się tak pośpieszył? — zapytałem z nienawiścią w głosie.

— Bo wam, Polakom, trudno się zdobyć na jakiś gest napoleoński. I chcę i sumienie nie pozwala. Zamknąć sumienie do kasy ogniotrwałej — i działać. Tam go złodzieje nie ukradną, jeżeli panu tak na tym skarbie zależy. No, proszę podpisywać. Nie mam czasu,

muszę zastać Chaimowicza, którego Dorn prosił o prolongatę weksla na 1500 rubli. Powiem mu, żeby nie prolongował.

Przemocą wcisnął mi pióro do ręki... Podpisywałem biernie, pod hypnozą tego człowieka wrogiej rasy, który pewnie z bajeczną satysfakcją, topił jednego z gojów, który z taką samą satysfakcją nie zawa-
ha się utopić i mnie..

Kantorowicz wziął moją tekę, leżącą na biurku, schował do niej weksle, które miałem pokazać Dornowi. Zadzwoił na mego służącego i kazał zawołać do-
rożkę. Zaciągnął mnie do niej i wszedł zaraz ze mną, żeby podjechać część drogi.

Wysiadł wkrótce, ale hypnoza trwała. Wszczepił we mnie swoją zbrodniczą wolę, działała we mnie, jak obca organizmowi surowica i nie miałem już siły, by krzyknąć swoje *veto*.

Podjeżdżałem do młyna. Posłyszałem z daleka turkot maszyn. Między szeregiem włoskich topoli, trzymających straż, jak wysokie posągi, błysnęło srebrzywo Sałgiru. Oto bielila się willa na wzgórzu. Jeszcze w niej niema nieszczęścia, jeszcze w nią nie uderzyło nieszczęście ostateczne...

— Wszedłem do ogrodu. Dojrzałe owoce obciążały karłowate grusze wzdłuż muru. Na klombach pachniały floksy, werbeny i lewkonje. Róże blado-różowe, herbaciane, czarno-ponsowe emanowały w powietrzu fale

aromatu, jak akordy muzyczne. Na fontannie bez-trosko stał amorek pomalowany na zielono i z przechylonego pucharu lał wodę do basenu.

Tatarzynek powiedział mi, że Dorn jest na pod-wórzcu. Wszedłem przed dom. Obcy Tatar trzymał za uddę wierzchowca Dorna, chorego na kopyta.

— Sprzedaje go pan? — zapytałem po przywita-niu.

— Nie, odsyłam do tabunu Tułumbadżego, on pa-sie swoją stadninę w stepie. Na trawie powinien się wyleczyć.

Wspaniały koń blado-bronзовый odwracał ku Dor-nowi głowę z mądrymi oczami i rżał żałośnie. Dorn podszedł do niego, pozwolił mu oprzeć głowę o swoje ramię i głaskał go długą chwilę. Konia uprowadzono. Jeszcze odwracał głowę i rżał.

Dorn posłał za nim chore, śmiertelnie smutne wejrzenie. Wiedziałem już, że pierwszy cios go ugo-dził...

Wziął mnie przyjaźnie pod rękę i zaprowadził do swego gabinetu. Nie dałem mu dojść do słowa.

— Muszę panu wyrządzić ciężką krzywdę, — rą-bałem jednym tchem, — czy zmowa jakaś czy co.. Od-razu przedstawiono mi tyle weksli do zapłacenia, że nie widzę innego wyjścia, jak wycofać z młyna mój kapitał...

Dorn wstał z taką bladością na twarzy, jakby

wszystka krew wyciekła z jego ciała. Ręką odsunął weksle, które zacząłem wyjmować z teki. Podeszedł do okna. Patrzył na ogród, w którym na karłowatych gruszkach dojrzały drogie owoce, na klomby zahaftowane tonami różowemi i lila werben, floksów i lewkonji, na róże blado - różowe, żółte i czarno - ponsowe, emanujące fale aromatu, jak akordy muzyki, na zielonego amorka, który z przechyłonego puharu lał do basenu połyskliwą strugę wody... Może patrzył na to z uczuciem, że widzi to poraz ostatni. Może patrzył nie widząc nic wcale...

Nagle uczyniła się cisza. To ustał turkot młyna. Nie słyszało się go z przyzwyczajenia póki szedł.

— Co to? — krzyknąłem głośno, — stanął?

Dorn odwrócił od okna twarz już spokojną.

— Póki tu jestem, młyn nie stanie. Zatrzymano maszyny parowe, żeby pracować wodą. Sałgir wezbrał.

Trochę chwiejąc się na nogach, podeszedł do karafki z wodą, nalał wodę drżącą ręką, rozlewając ją na srebrną tackę. Pił z trudnością. Podeszedł potem do biurka i usiadł w fotelu, kładąc rękę za kamizelkę, w zanadrze.

— Chciałem panu zakomunikować również kłeskową wiadomość, ale skoro przestajemy być spółnikami, nie obchodzi ona już pana.

— Panie Feliksie, jak pan stawia sprawę. Jakbym

umyślnie chciał panu szkodzić! Przecież pozostają dla pana z dawną sympatją i życzliwością. Niechże pan przejrzy te weksle i zobaczy, czy mam inne wyjście.

Dorn wziął weksle z powątpiewaniem, przejrzał je, zamyślił się, potem powiedział poważnie:

— Szkoda, że pan nie informował mnie dokładniej o swoich długach i o aferach, w które pana wciągnano. Nie był pan zobowiązany, mając u mnie tylko część swego kapitału i prowadząc poza tem inne interesy, ale byłoby lepiej. I dla mnie, i dla pana.

— Ale nie mówi pan o jakiejś innej przykrej sprawie.

— Nasi klienci bachczysarajscy zerwali z nami.

— Kto? Kantorowicz i Aladżałow? Niemożliwe! — udawałem zdziwienie, mówiąc sobie w duchu: — Jakiś ty podły, jakiś podły!

Dorn w milczeniu pokazał mi depeszę, potem list.

— Zdaje sobie sprawę, że mam do czynienia z jakąś potworną zmową. Widocznie chciano zrujnować i mnie, i pana, czy też tylko mnie przez pana. I nawet domyślałem się, kto i dlaczego.

— Niechże pan powie!

Dorn ważył w sobie przez chwilę niepewność, czy ma mnie powiedzieć, czy nie. Wreszcie uderzył mnie wręcz swoim szczerem spojrzeniem:

— Rewanż Kantorowicza za intendenturę.

Zrobiło mi się zimno. Czy Dorn wszystko widzi tak przenikliwie? Czy czyta również w moich myślach, tajnym instynktem nieomylnie wykrywa sprężyny moich czynów?

Nie mogłem znieść jego wzroku. Wstałem, szarpamy burzą wewnętrzną i zacząłem chodzić po gabinecie. Spostrzegłem po chwili, że młyn znowu idzie.

— Niech pan tu jeszcze zostanie, — odezwał się Dorn, ciężko zmęczony. (zdawało mi się, że ręka w zanadru przyciska serce), — niech pan zostanie, proszę dotrzymać towarzystwa paniom, zorientuję się w stanie moich interesów, zbiorę gotówkę, którą mam w kasie i powiem panu, co będę mógł wypłacić w najbliższych dniach. Tylko niech pan poczeka tutaj parę godzin.

— Jeżeli to ma zrujnować pana...

— Proszę pana, jeden z nas musi być zrujnowany. Teraz, kiedy zostanę bankrutem, chcę przedewszystkiem spłacić Polaka... nie przez sentyment dla pana, — dodał groźnie, kiedy zrobiłem gest protestu, — ale dlatego, że pieniądze muszą wrócić do Polski. Niech pan pamięta.

Pochyliłem głowę i wychodziłem z gabinetu, kiedy dobiegł mnie jeszcze głos:

— Proszę powiedzieć Ronie, żeby mi nie przeszkadzano — robię rachunki... Niech się bawi, niech nie wie jak najdłużej...

Błąkałem się przez chwilę po ogrodzie, po pustych pokojach. Nie było nawet Tatarzynka. Tylko przed gankiem wychodzącym na podwórze, zobaczyłem Achmeta. Siedział na stopniach kamiennych, ukrywając w dłoniach twarz w jednej tylko krymce. Czapka barania leżała obok.

Zacząłem wyrwać z nieubłaganych rąk sumienia prawo do radości. Przecie walczę o Werę — jedyne moje szczęście na ziemi. Osiągnąwszy cel, zwrócę ten sam kapitał Dornowi, dam mu kredyt przez podstawionych ludzi. Sam mu pomogę się wzbogacić. Wróci do kraju zakładać swoje kooperatywy i zapomni o Wierze.

Ale gdzież są wszyscy? Podszedłem do Achmeta. Posłyszałem, że płacze. Trąciłem go w ramię.

— Achmet, ty czego?

— Dżarydę dziś Surum - Bek zabiera. Orlika też zabrano. On ma chore kopyta, a ona ma chore serce. Oj, nie puści jej więcej Surum - Bek na jajkę, nie zobaczą jej moje oczy, każe pilnować starym czarownikom u siebie w domu.

— Znajdziesz sobie inną kobietę. Teraz to już cudza żona.

— I kniaź Gamzagurdi nie pytał, czy cudza żona, a kochał.

Piękne jego rysy wyrażały okrucieństwo.

— Ja Surum - Beka zabiję, a Dżarydę wezmę do siebie. Jak kniaź. Dobrze on zrobił.

Chciałem wzbudzić w nim uczucia etyczne, ale przypomniałem sobie, że właśnie dziś, walcząc o kobie-

Poszedłem do wioski. Chciałem prędzej zobaczyć Werę. Kamienistą drogą spuściłem się w dół, między niskie domy i drzewa morwowe wioski tatarskiej.

— Do wioski poszli. Na wesele Surum - Beka. tę, zadałem rywalowi cios skrytobójczy...

— Gdzie pani? — zapytałem nieswoim głosem.

Tuż przed wioską ciągnęło się pole melonów i kawonów - bachcza. W środku dużych liści leżały owoce, jak niezliczone głowy ucięte. I wszystkie złowrogo i szyderczo śmiały się do mnie wśród niejaskrawego popołudnia..

W wiosce przywitały mnie dźwięki dzikiej muzyki tatarskiej. Idąc za nimi stanąłem przed jednym z okazalszych domów. Przywitano mnie i wprowadzono do niskiego pokoju. Podłoga była pokryta samodziałem z piłśni, a wzdłuż ścian urządzone były niskie sofy, biegnące dokoła pokoju. Usiadłem niezręcznie na tem niskiem siedzeniu, przeznaczonem do pozycji ze skrzyżowanemi nogami, po turecku.

Podano mi kawę, sorbet różany. Zapytałem o panie z młyna. Były w kobiecej części domu. Przyszły po chwili, bardzo ożywione nowem widowiskiem — Pani Ewelina z Marysią przyjechały popołudniu, żeby być na weselu.

— Niech pan sobie wyobrazi, opowiadała Wera, — Dżaryda siedzi w kącie na ziemi, zawieszona zasłoną. Musi tak trzy dni pościć, aż ją pan młody zabierze do domu.

— To pewnie dlatego, żeby była uleglejszą, bo u nich przeważnie wydają zamaż, nie pytając panny młodej, — zauważyła pani Ewelina.

— A na prezenty ślubne wszyscy dają czadry — jest ich cała wystawa, a niektóre prześliczne, — dodała Marysia.

— Tę czadrę, którą pani trzymała w rękach, kiedyśmy się poznali, kupiłem i mam u siebie w gabinecie, — powiedziałem cicho do Wery.

Uśmiechnęła się zalotnie.

Stłoczyły się dokoła nas Tatarki. Mnóstwo drobnych warkoczyków na głowie i paznokcie pomalowane henną nadawały tym kobietom dziwną obcość. Przypomniałem sobie skośnooką Dżarydę. Czy mógłbym kochać taką, gdybym nie znał Wery?

Zatrzymałem się na tej myśli, bo sprawiała mi roztargnienie, odciągała od obrazu bladego Dorna, siedzącego w gabinecie nad rachunkami.

Wracaliśmy do domu powoli. Wzgórza milczały w zmierzchu, jak olbrzymie przyczajone koty, przeżące w przerażeniu okrągło swe grzbiety. Zdawało mi się, że pod nogami przewijają się długie szare węże, jak tamte z leszczyny. W sierpniową noc leciały srebrne race gwiazd spadających.

— Lelo, nie śpij z otwartymi oczami, — upominała Wera dziewczynę, która potknęła się na drodze, — nie uwierzą państwo, co to za skaranie Boże z tym dzieciakiem, — skarżyła się, — ciągle się zamyśla, rozmarzyły ją poezje, ucieka od życia. Nie dawaj ty jej książek, Marysiu.

— Cóż jej wzamian dać?

— Choćby towarzystwo!

— Pań Papadato i Chamaryto, czy też Rabinowiczówny i Tułumbadzi z jej gimnazjum? A może Smielkowej?

(Była to filuterna Rosjaneczka, znane na całe miasto ze swych spacerów z uczniami).

— Ach, z tobą się nie można dogadać, — niecierpliwie zachnęła się Wera.

— Ja myślę, powiedziałem do Wery, wyprzedziwszy razem z nią nasze towarzyszki, — że dla Leli byłoby najlepiej, gdyby się ją oddało do jednego z klasztorów w Galicji — do Urszulanek albo Sacré Coeur.

— I nie nauczają jej po rosyjsku! Co ona tu będzie potem robiła!

— A czy ona koniecznie ma mieszkać w Rosji?

— Pewnie, jeżeli ojciec jej tutaj ma majątek i tutaj robi pieniądze! Zresztą, ja się z dzieckiem nie

rozstanę! Feliks już nieraz mówił, żeby ją posłać do kraju.

Umilkliśmy. Wera, która mówiła ostatnie zdania wzburzonym głosem, ozwała się nagle spokojniej:

— Pan widział się już z Feliksem? Co mu jest? Po otrzymaniu poczty wyniósł mi pieniądze, żebym dała pani Ewelinie dla Glenowiczowej i prosił nie ruszać go przez cały wieczór. Był jakiś dziwny.

Zawstydzilem się. Niechętnie przyrzekłem pomoc Glenowiczowej i nie przyszło mi nawet do głowy, że Glenowicz grał hazardownie ostatniego wieczoru i że żona jego została bez środków do życia. A przecież słyszałem ich rozmowę. Dorn pamiętał o tem nawet pomimo strasznego ciosu, który w niego uderzył.

— A i pan dziś nieswój, — nagle zawołała Wera.

— To dlatego, że widziałem, jak Achmet płacze za swoją Dżarydą i za Orlikiem.

— Cóż pan dziś taki sentymentalny?

Wróciliśmy do willi i siedliśmy do herbaty. Rozmowa się nie kleiła.

Lela poszła wędrować po ogródku i marzyć. Pani Ewelina kładła pasjansa, czekając, czy nie nadjadą goście, aby złożyć preferansa. Marysia przeglądała książkę ilustrowaną. Wera usiadła do fortepjanu. Grała tę samą melodję, którą śpiewała panna Chamaryto:

Co za księżyc, za noc,
Kiedy czekam na niego...

Wołała mnie tą melodją pełną szaleństwa i czar. A tam w swoim gabinecie męczył się Dorn...

Zrobiło mi się niedobrze. Wyszedłem na powietrze. Skradałem się ku oświetlonej oknu Dorna, które było otwarte na noc...

Młyn huczał. Cały wielopiętrowy budynek, patrzący mnóstwem czerwonych ślepi, trząsał się i gadał bezsennie.

Dorn stanął w oknie. W cieniu pod akacjami mignęła biała sukienka Leli.

Dorn zawołał głosem zmienionym:

— Lela, to ty?

— Ja, tatusiu, — odpowiedziała Lela i znalazła się w smudze światła.

— Podejdź tu, — mówił Dorn, — powiedz mi, dziecinko, czy jesteś zupełnie pewna, że tam nad gwiazdami jest Bóg?

— Jaki tatuś dziwny! Pewnie, że jest. Tylko tacy kacapi, jak Deszke albo doktor Safronow, albo Kasjanow, jak się upije, wygadują, że niema Boga. Ciemne dusze Boga odczuć niezdolne, — mówi Marysia.

— Przyjdź posiedź ze mną.

— Kiedy taka piękna noc. Daj mi pomarzyć, tatusiu.

Dorn puścił rękę dziecka.

— Idź, — powiedział. A gdy odwróciła się, powiedział za nią:

— A pamiętaj, cokolwiek się stanie, słuchaj zawsze Marysi.

— Zawsze słucham ciebie i Marysi, — obejrzała się ze zdziwieniem.

Dorn odszedł od okna. Lela postąla przez chwilę i pobiegła dalej. Po chwili Dorn ukazał się znowu w oknie.

— Straszliwa samotność człowieka na ziemi, — przypomniałem sobie słowa pani Eweliny.

W pewnej chwili chciałem rzucić się do Dorna i wołać:

— Feliksie, bracie, to był wszystko zły sen. Znalazłem wyjście, żebyś uniknął bankructwa. Nie tknę twego ogniska domowego. Niech twój młyn miele dalej dla Polski...

Ale róże oddychały falami aromatu, a z czarnego nieba dżdżyły na nie srebrne race gwiazd. I zanosila się, lkała, wyrывała serce z piersi melodia:

Co za księżyc, za noc,

Kiedy czekam na niego...

Usiadłem w galerji pod oknem salonu. Twarz miałem zalaną gorącymi łzami. Wera wołała mnie każdym akordem, oddawała mi się w załkaniu każdej frazy...

Poprzez turkot młyna, poprzez medodję fortepjanu przedarł się, wygórował nagle straszny krzyk...

Akord się urwał. Rzuciłem się pędem do gabinetu Dorna. Już tam była Wera i szarpała się przy drzwiach. Drzwi były od wewnątrz zamknięte.

Pani Ewelina dzwoniła zapamiętale i wołała na pierwszego ze służby, który wbiegł:

— Sprowadzić ślusarza z młyna, prędzej ślusarza!

Nagle drzwi się otworzyły. Stała w nich Marysia.

— Weszłam przez okno, — powiedziała opanowana i energiczna, — panie Jerzy, proszę pomóc go podnieść!

Dorn leżał około otomany, oparty o nią górną częścią ciała. Położyliśmy go na otomanie. Już nie żył. Próbowaliśmy rozcierać jego nogi. Sztywniały mi w rękach. Przyłożyłem ucho do serca, w które wymierzyłem śmiertelny cios. Już nie biło. Z nozdrzy jego popłynęło trochę krwi i zaczęło krzepnąć na wąsach.

— Pęknięcie serca, — usłyszałem wzburzony głos pani Eweliny.

Wera nie śmiała dotknąć męża. Płakała tylko szmatycznie i nie była zdolna niczem się zająć, o niczem pomyśleć. Pokój wypełniał się ludźmi. Nagle uprzytomniłem sobie, że młyn stanął.

— Dlaczego młyn stoi? — zapytałem zawiadowcę — Francuza.

— Patron miał wydać nową partję zboża, ja nie wiem bez patrona, — odpowiedział Francuz, — pan każe puścić dalej?

Byłem przecież spółnikiem... Rozkazałem:

— Niech stoi...

Achmet podszedł do ciała, popatrzył z głębokim smutkiem i odszedł, mówiąc z fatalizmem:

— Kismet!

Marysia pobiegła szukać Leli.

Pani Ewelina pozbierała ludzi i poszła do salonu, przygotować ostatnie posłanie. Tylko Wera została przy mężu.

Zarządziłem, żeby pojechano po doktora i wróciłem do Wery.

— Nie płacz, najdroższa, — mówiłem, — nie płacz, szkoda go bardzo, to był zacny człowiek, ale teraz otwiera się szczęście przed nami...

Dorn leżał cichy — może jeszcze duch jego nie oderwał się od ziemi i słyszał te słowa. Poczulem w tejże chwili, że były okrutne, nie na miejscu, ale tak chciałem pocieszyć ukochaną...

Wera odjęła chustkę od oczu i nagle zarzuciła mi ręce na szyję, przycisnęła się do mnie z całej siły, mówiąc:

— Teraz na koniec będę tylko twoja, tylko twoja...

Poczulem czyjąś obecność. Odsunęłem Werę od się-

bie. We drzwiach stała Lela. Ani jednej kropli krwi nie było w jej twarzy.

Ten trup z krwią koło ust, my dwoje w tem szalonym objęciu nad nim — i to dziecko, patrzące na to...

Lela, chwiejąc się na nogach, jak ogłuszona, podeszła do ojca. Położyła rękę na jego głowie i zwróciła się do nas:

— Idźcie stąd precz!

Wera stała z oczami rozszerzonymi od przerażenia:

— Ależ, Lelo, — próbowała zbliżyć się do niej.

— Wam niewolno być przy nim. Wyście zabili jego, najlepszego z ludzi. Idźcie stąd precz, bo krzyknę światu całemu...

Wyprowadziłem płaczącą Werę. Lela była w stanie niepojętej egzaltacji. Położyłem Werę w jej buciarze i co prędzej znalazłem Marysię i posłałem do Leli.

Nie śmiałem pomóc przenieść ciała na katafalk w salonie. Usunąłem się stamtąd na galerję, kiedy niesiono Dorna, już przebranego w czarne ubranie. Za nim szła Lela, podtrzymywana przez Marysię.

Lela brała z koszyków ścięte róże i gałązki tui i ubierała posłanie. Złapałem biegnącego Tatarzynka i kazałem mu wywołać Marysię.

Marysia wyszła do mnie, poważna i surowa. Usiadłem z nią na ławce wśród akacji i platanów.

— Lela mówiła pani... — zaczęłem.

Patrzyła w dół zażenowana. Pierwszy raz o młodość jej otarło się życie nagie w namietności. Ale po chwili podniosła na mnie oczy, w których był nieubłagany sąd:

— Mówiła. Ale oczywiście nie może być skandalu około tego pogrzebu. Pan Dorn tak nie lubił hałaśliwej tragedji. Wmówiłam już Leli, że nikt nie winien chorobie serca, a matce musi przebaczyć, jako chrześcijanka. Teraz ojcu nikt życia nie przywróci, a i to jest zasługą matki, że za życia nie zdradzała męża. Obiecała mi zachować pozory.

Odetchnąłem. Przynajmniej z tej strony będzie spokój.

— Pani mnie okropnie potępia, panno Marysiu, — powiedziałem.

— Przyznaję, panie Jerzy, że inaczej sobie pana wyobrażałam, — powiedziała z nutą gorzkiego zawodu w głosie, — że pani Wera flirtuje — no, to ona flirtuje z każdym, sam Dorn nie brał tego do serca. Ale żeby posunąć się tak daleko!

— Czy pani myśli, że Dorn widział nasze... uczucie i że to wpłynęło na jego chorobę?

— Może i widział. On dużo widział. On dużo widział, choć mówił mało. W ostatnich czasach rozmawiałam z nim o pani Zoe. Powiedział wtedy:

— Jabył zgodził się na rozwód, gdyby żona moja

poważnie była zdolna kochać tego innego, gdyby dał jej lepsze warunki życia materialne albo moralne... Ale kobieta, która rzuci jednego, zawsze się wykoleja. Dlatego puściłbym od siebie żonę tylko wtedy, gdybym nic już nie mógł jej dać... Może myślał wtedy o swojej żonie.

Poczułem ulgę na te słowa. Były potwierdzeniem celowości mego planu. Więc nie był ślepy i niepotrzebny ten cios... No, cóż, walka o kobietę... Nie wiedziałem, że był chory. A gdybym go zabił w pojedynku?

— Zresztą, co do śmierci Dorna, — podjęła Marysia, — ja inaczej się na te rzeczy zapatruję i usprawiedliwić pana nie mogę. Pewnie, że wszelkie zmartwienie mu szkodziło. Ale on był dawno chory na serce, tylko zabronił żonie i Leli opowiadać o tem, żeby to nie poderwało jego kredytu, nie wpłynęło na stosunki handlowe z nim.

Poczułem w sercu ukłucie, które nie miało się już zagoić. Nie przywalilibym Dorna katastrofą, gdybym wiedział że to jest człowiek ciężko chory. Wera obciążyła mnie tą zbrodnią. Wera, która niby tak kochała mnie, — Jerzego Niementowicza, miała tajemnice przedemną, jako spółnikiem męża. Widocznie nie sądziła, że można zostawić kapitał w rękach zagrożonych, że można znieść niepewność w interesach nawet dla miłości. Czy posądzała mnie o taki materializm dlatego, że sama nie postępowała inaczej?

— To źle, że nie wiedziałem o jego chorobie, — powiedziałem.

W twarzy mojej musiało być wielkie cierpienie, bo Marysia zmiękła.

— Jeśli czuje się pan winny, proszę dać pamięci Dorna wszelkie zadośćuczynienie.

Podniosłem głowę z nagłą energją. Odpokutuję, nie pójdę na dno. Może on mi przebaczy. Zawołałem, wskazując milczący młyn:

— Ten młyn niech znowu miele dla Polski!

Marysia spojrzała na mnie z milczącą aprobatą. Odeszła do domu.

Młyn milczał i była ciężka i rozdzierająca ta cisza.

Okna wielopiętrowego budynku, jak oczy tęcze, patrzyły na mnie w promieniach wschodu z potępieniem i wyrzutem.

Młyn milczał, bo cichy i milczący leżał ten, który wprowadził go w ruch. Na posłaniu zasypanem różami i gałązkami tui leżał Dorn. Migotało światło świec. Lela z niesamowitym spokojem ocierała czystą chustką skrzepy krwi, wypływające przez nozdrza, skrzepy krwi z pękniętego serca człowieka sprawiedliwego, wołające o pomstę do nieba...

IX.

— Dobrze, że wczoraj pojechałeś na wycieczkę, — mówił nazajutrz inżynier S. do przyjaciela, — tak się zdenerwowałeś tem opowiadaniem.. Nie byłbym ci już przypominał twego życia na Krymie, ale w zbyttniem napięciu zostawiłeś moją ciekawość. Co się jednak stało ze wszystkimi osobami, o których opowiadałeś? Od tego czasu śmiertelną kosą przejechał po Krymie bolszewizm...

Pułkownik zdawał się przeżywać przez chwilę dalekie i bolesne wspomnienia.

— Myślałem, że stracisz do mnie wszelką sympatię, dowiedziawszy się, jakim byłem szubrawcem.

— Co za głupstwa, Jerzy! Czyż nie byłem z tobą na froncie... Jeżeli zgrzeszyliśmy przed wojną, bo i ja niejedno mam sobie do wyrzucenia, obmyła nas krew nasza. Zresztą, jestem pewien, że uległeś przez pewien czas wpływowi otoczenia bez skrępułów, choćby takiego Kantorowicza. W swoim kraju, wśród swoich przyjaciół dzieciństwa i krewnych nigdybyś tego nie uczynił.

— Ten Kantorowicz, — wybuchnął Jerzy, — to był naprawdę płaz demoniczny i ukaśliwy! On mnie naznaczył piętnem Kaina...

— Zastanów się: przecież nie ty zabiłeś Dorna.

— Nie miałem w ręku noża, ale ja go zabiłem. Co tu obwijać w bawełnę.

— Jąbym sądził, że zabiła go żona, chcąc utrzymać i męża, i kochankę, i kapitał. Kobieta, podsycająca w człowieku nerwy, wyciągająca w nim pożądanie do ostatnich granic, jak strunę gotową pęknąć, zawsze jest winna.

— Nie mów o niej, — zatrzymał go ręką pułkownik i twarz jego zmieniła się, — nie mów o niej źle... już nie trzeba...

— Słuchaj więc dalej. Przyjąłem na siebie wszystkie zobowiązania Dorna. Postanowiłem postępować tak, jak on byłby postępował.

Nie trudno było już teraz namówić Werę, by Lela wyjechała do klasztoru do Lwowa. Razem z nią pojechała na uniwersytet Marysia. Lela „zachowała pozory“, ale ze mną rozmawiała z przymusem, o dawnej serdeczności dla matki nie mogło być mowy. Była ona tym drugim cieniem, który, obok cienia Dorna, padał na nasze szczęście. Rzeczywistość, czy hipnoza tego szczęścia była tak wielka, że nie mogła go zawalić nawet taka mogiła, jak Dorna. Oszukiwaaliśmy sumienie, w chwilach upojenia tryumfował nad niem zwyczajski cichot naszej rozkoszy.

Trzeba było wkrótce po pogrzebie Dorna zająć się sprawą Glenowiczowej. Ponieważ robiono bezustannie szykany tej kobiecie zahukanej i skromnie ubranej, towarzyszyłem jej do więzienia.

Bolesnym nie do zniesienia był dla niej widok jej męża w aresztanckim ubraniu. W miarę, jak śledztwo się rozwijało i ujawniało, że prawdopodobnie nie Glenowicz popełnił defraudację, pozwolono mu nosić własne ubranie.

Jechaliśmy pewnego dnia do więzienia. Glenowiczowa, ocierając oczy, mówiła:

— Jakże niesprawiedliwe i źle urządzone jest społeczeństwo. Oto człowiek nie popełnił nic przeciwnego prawu, spadło na niego tylko podejrzenie. Ale już przylgnie do niego ta plama. Jeżeli go uwolnią, trzeba będzie jeszcze dalej wyjechać. Może do Turkiestanu.

Powóz (wspaniały zaprząg Dorna) wjechał w pustą przestrzeń za miastem. Zdaleka, na wydmach piaszczystych widać było gmach więzienny z blaszanymi koszami, zasłaniającymi okna. Stał tam wielki i złowrogi, jak czerwona plama ceglana na tych piaskach. A dokoła widnokregu wdzięczną falistą linią rozłożyły się wzgórza i szeregi topoli piramidalnych zdawały się równej z nimi wysokości.

Stanęliśmy przed furtą więzienną. Na dzwonek strażnik wychylił twarz spitą i złą, jak u buldoga.

— Nie będzie dziś widzeń, — warknął, — dziś partja aresztantów odchodzi na katorgę.

I zatrzaskało okienko.

Ale Glenowiczowa miała nadzieję, że wyjdzie ktoś ze starszyny i jednak nas wpuści. Zatrzymaliśmy się przy bramie.

W podwórzu więziennem słychać było szczekanie i gwar, czasem ostre okrzyki straży i głuche uderzenia. Byli tam ludzie wyjęci z pod prawa, istoty, oddane na pastwę nieograniczonej władzy nielepszych od siebie, idące nie na poprawę, lecz na ostateczną demoralizację, i zatracenie. Mało z nimi robiono ceremonji. Glenowiczowa, blednąc, słuchała szczekania kajdanów.

Otworzono wreszcie wrota. Wyszli aresztanci w szeregach, konwojowani przez strażników z karabinami. Szczekanie kajdanów wzmogło się i złożyło w rytm bolesny, rozdzierający, swoście rosyjski, jak ohydne piszczenie harmonji. Jakiś więzień zaintonował:

Rozłąko, ty, rozłąko,

Rodzinny kraju mój!

Dostał w kark kolbą i umilkł. Pochód wyciągnął się w stronę dworca, który był na krańcu miasta.

Wśród jednego z pierwszych szeregów uderzyła mnie biała czerkieska, brudna i sponiewierana. Nie-

wymownie piękna głowa o ciemnych, palących się oczach wznosiła się wciąż dumna i nieugięta. Ale na rękach i nogach były kajdany. Poznałem.

Był to książę gruziński, Gamzagurdi.

Glenowiczowa też poznała. Zachwiała się. Pewnie uprzytomniła sobie, że ludzie, którzy posłali na katorgę księcia Gamzagurdi, nie będą się liczyli z urzędnikiem-Polakiem. A przecie rodzina księcia i pani Zoe wysypali deszcz złoty, żeby go obronić, ulżyć mu, dać znośniejsze warunki w więzieniu.

Kazałem Achmetowi jechać powoli za partją. Dawaliśmy kniaziowi znaki, że jesteśmy tu dla niego. Konwój udawał, że nie widzi. Gamzagurdi uśmiechnął się do nas chorym, zabitym uśmiechem. Więzienie już go nadszarpnęło. Zauważyliśmy, że kaszle.

Patrzyłem na tego człowieka, idącego po drodze piaszczystej, pod grozą karabinów, których lufy, jak spalone łodygi czerniały w szafirowem powietrzu. Patrzyłem na jego postać prostą, chociaż widać było, że kręgosłup zwiroteczały prostuje mu duma, nie siła mięśni. I w tym mordercy, obarczonym zemstą straszliwą i równie barbarzyńską, jak jego nieokiełznana namiętność — zobaczyłem siebie.

Zabiłeś! — krzyczało we mnie głośno. Żaden sąd nie miał podstaw, by mnie skazać. A jednak czułem się stokroć winniejszym od gorącego południowca, który odpowiedział ciosem na zniewagę. A ja zada-

łem cios, nie będąc skrzywdzony, ani znieważony. Padato tyranizował żonę, ale Dorn...

To dusza moja niewolna, przez samą siebie spętana, wlokła się po wydnie piaszczystej, wśród pozaczynanych budowli, wlokła się, brząkając kajdanami... To dusza moja jęczała w nieprzytomnem przeobrażeniu w rytmicznym podzwonie żelaza, w ciężkim tupocie skutych nóg...

— Co panu? — zapytała mnie zcicha Glenowiczowa.

Byliśmy blisko od dworca. Drogą od miasta biegła kobieta z włosami potarganymi, bez kapelusza, w jednej sukni. Biegła, jakby ten bieg był wyścigiem ku celowi jedynemu, upragnionemu, ku furcie, która miała się zatrzasnąć na wieki, gdyby jej nie dopadła. Biegła z płaczem i krzykiem. Zrównała się z partją. Poznaliśmy panią Zoe.

Wypatrzyła kniazia Gamzagurdi. Zaczęła się przedzierać ku niemu, oszalała, nieprzytomna, gotowa raczej paść, niż odstąpić. Strażnicy zagradzali jej dostęp kolbami. Wyciągała rękę po ostatni uścisk. Odrywali od niej na wieki ukochanie...

Gamzagurdi — odrzuciwszy pańską wyniosłość — wołał do niej — po gruzińsku, po grecku? — słowa im tylko wiadome, słowa, jak wonne róże z ogrodów Gruzji. Nie zrozumieliśmy słów, ale brzmienie ich było muzyką miłości i śmierci.

Zbliżyliśmy się do pani Zoe, uspakajając ją. To-

warzyszyliśmy jej na dworzec. Jeszcze przez okno zakratowane wyjrzała blada twarz Gamzagurdiego. Po ciąg ruszył...

Pani Zoe biegła jeszcze za pociągiem. Zatrzymałem ją w końcu. Płakała. Pani Glenowiczowa narzuciła jej na głowę swój szal. Zaprowadziliśmy ją do powozu.

— Dla mnie jest niezrozumiały wyrok sądu przysięgłych, — ozwał się do pani Glenowiczowej, — zabójstwo w uniesieniu, w afekcie, w obronie własnej... Okoliczności były łagodzące.

— Mówił u Wołyńskich Bogucki, — odpowiedziała pani Glenowiczowa, — że skazano go dlatego, że to znaczny człowiek w ruchu narodowym gruzińskim. Niewygodny dla rządu. Prokurator dużo mówił o utrzymaniu instytucji małżeństwa — a sam już drugi raz się rozwodzi, — ale skład sądu był odpowiadni i wyrok z góry był napisany. Dostał cztery lata katorgi i to do miejscowości fatalnej pod względem zdrowotnym. Powinienby dostać tylko rok twierdzy.

Pani Zoe siedziała w odrętwieniu. Nie zwracała uwagi, czy mówimy i w jakim języku.

— Odwagi, pani, — zwróciła się do niej pani Glenowiczowa, — trzeba jakoś żyć.

— Ja tu żyć nie będę, — odpowiedziała pani Zoe, — tu był cudny Chersones, kraj ojców moich. Przyszli Rosjanie, zdeptali go kacapskimi butami. Tu

niewolno żyć dla miłości, jak wolno na szczęśliwych brzegach morza Jońskiego. Nienawidzę Rosjan!

— Gamzagurdi panią tego nauczył, — zdziwiłem się, że coś się uczepiło jej ptasiego mózgu.

— Tak, Gamzagurdi. Jęczą wszystkie narody, i Tatarzy, i Gruzini. A my, Grecy, bywamy tylko narzędziem w ich rękach, nami szachują Turków, dobierając się do Konstantynopola. Ale ja go nie oddam. Dziś jeszcze pojedę za nim, od etapu do etapu. Przeczekam katorgę. Jeżeli nie uda się ucieczka, wtedy, uciekniemy, jak będzie na osiedleniu. I znowu zaczniemy walczyć o wyjarznienie Gruzji!

Nareszcie pod powłoką gnuśnej i niewolniczej Moskiewszczyzny zagrała krew Epaminondasów! Patrzyłem na to ze zdumieniem. Byliśmy tu my, Polacy-dorobkiewicze, Kartagińczykami na Capri, jak mówił Dorn. Nie wykorzystaliśmy pobytu na południu nawet po to, żeby przerwać sieć kosmopolitycznej ruszczyzny i poznać się z innymi niewolnymi narodami, i zmówić się z nimi... Przez tyle lat żyłem około Ormian, Gruzinów, Tatarów i niespodzianką dla mnie były ich uczucia narodowe. Nie wiedziałem nawet, że Tatarzy z Kaukazu—to właściwie Turcy, zwani przez Rosjan Tatarami, aby zatuszować łączność z Turcją.

Wieczorem przyszedł Achmet, prosząc o zwolnienie ze służby.

— Moja nie chce, jak kniaź, na Sybir iść. A jak

moja zostanie, to albo Surum-Beka śmierć, albo Achmeta!

— Dokądże pojedziesz?

— — Do Sebastopola, na okręt, na dalekie morze. Dżaryda zapomni. Kismet.

Achmet odjechał. Glenowicza zwolniono, wrócił z żoną do kraju, do okolicy, w której ich nie znano.

— A ty pożyczyłeś pieniędzy na powrót? — zagadnął inżynier S. z uśmiechem.

— Jakbyś zgadł.

— Wiem już o losach osób drugorzędnych twojej historii. Ale osoba główna...

Pułkownik Niementowicz ciężko się zamyślił.

— To już jutro.

X.

— Najwięcej cię interesują losy Wery, — zaczął pułkownik nazajutrz, — otóż Wera prędko oswoiła się z nowem położeniem. Prędko przestała nawet tęsknić za dzieckiem, które stało się źródłem nieprzyjemnych wrażeń, wyrzutów i cierpienia. Mieszkaliśmy w tej samej willi koło młyna. Tylko gabinet Dorona z początku był zamknięty. Nie zgadzałem się go zająć. Wera po kilku miesiącach otworzyła go i przeniósłszy meble z mego mieszkania w mieście, urządziła tam drugi pokój bawialny, gdzie grano w karty.

— Nie zrobiłbym tego nigdy. Ale wszystko działo się podług jej woli. Kobieta ta stworzona była co najmniej na Kleopatrze, jeżeli nie do rządzenia państwami, to mężczyznami.

Ale przynajmniej dawała mi szczęście. Zdobyłem je z trudnością i ceniłem tem bardziej.

Wera zaczęła zdradzać zamiłowania podobne, jak pani Ewelina. Otaczała się coraz niższemi typami. Zagaściła się w domu żona młynarza-Francuza, pani Colon. Była to osoba mówliwa i fertyczna. Przynosiła

Werze „Petit Journal“, popstrzony czerwonymi ry-
cinami krwawych scen i kolorowymi sensacjami, ro-
biła z nią jakieś robótki i opowiadała plotki z fabryki
owoców i wszystkich innych w promieniu stu kilome-
trów, gdziekolwiek pracował jaki fachowiec-Francuz.
Francuzi często bywali u siebie i żyli solidarnie. Po-
znać można było ich obecność po ogromnych hodo-
włach królików, które zawsze, jako potrawa narodo-
wa, szły na rożen w razie przyjazdu gości.

Znalazłem raz biały ślad mąki, prowadzący z mły-
na do domku robotników, gdzie spali ci, co przycho-
dzili na szychotę nocną lub z niej schodzili, ponieważ
mieszkali daleko. Chcąc wysledzić nadużycie, posze-
dłem tam sam. Dokoła chałupki rosły bujne chwasty.
Wydało mi się, że przy Dornie było tu inaczej. Cicho
otworzyłem drzwi i stanęłem w nich. Na tapczanach
rozsiadło się kilku robotników. Jakiś kudłaty inteli-
gent w koszuli wypuszczonej na spodnie i przepasa-
nej rzemieniem, tłómaczył im coś z zapałem. Posły-
szałem:

— Inteligencji wcale proletarjatowi nie trzeba.

— Wasz będzie młyn, i dom, podzielicie jego zie-
mie, jego ogrody... A on, pijawka burżujska będzie
z miotłą zamiatał po was.

Odpowiedział mu rehot pełen uciechy.

— Zdaje się, że nauki pana trochę odbiegają od
obrazu przyszłego społeczeństwa skreślonego przez
Bebła i Kautsky'ego — odezwałem się nagle.

— Chaziain (gospodarz), wykrzyknęło audyto-
rjum z przerażeniem.

— Pan... pan jest ciemieżyciel proletarjatu, pan
szpieguje swoich ludzi! — krzyknął rewolucjonista
i aż zatkało go z oburzenia.

— Bynajmniej, chciałem zobaczyć, jaki tu po-
rządek. Chyba wolno mnie, podłemu burżujowi, dbać
o higienę przytulku robotniczego? I widzę, że tu trze-
ba wybielić, a podłoga jest chyba z miesiąc niezamia-
tana.

— Zamiataj sam, — warknął stróż, rudy i piego-
waty chłop z Rosji środkowej, którego twarz bezczel-
na i brutalna nacechowana była specyficznie rosyj-
ską chuliganerją i wyuzdaniem.

Odpowiedziałem na to:

— Dobrze, daj miotłę. Daj natychmiast, — krzyk-
nałem rozkazująco, widząc osłupienie stróża.

Przyniósł mi miotłę w milczeniu. Zacząłem zamia-
tać bardzo starannie.

— Co to za komedja, — podrwiwał agitator.

Wykryłem w tej chwili pod ławką woreczek z mą-
ką. Postawiłem go na stole.

— Czy w przyszłym ustroju proletarjackim bę-
dzie potrzebna uczciwość? Pan nie uczy, że kradzież
jest antyspołeczna? Nie? Może pan uczy nawet le-
pszyc jej metod dla niszczenia przekłętej własności
burżuazyjnej?

— Nie jestem anarchistą, — warknął agitator.

Skończyłem zamiatać, odstawiłem miotłę i zwróciłem się do rudego i agitatora.

— Iść za mną, w tej chwili!

Komendy słucha każda niewolnicza dusza rosyjska, nawet, jeżeli ma za sobą parę kursów uniwersytetu. Poszli za mną.

Poprowadziłem ich do mego biura w młynie. Leżała tam korespondencja w obcych językach.

— Zrobiłem robotę za ciebie, — mówiłem groźnie do rudego, — i widzisz, że potrafię zrobić twoją robotę. Ale przez to zmarnowałem czas i nie zrobiłem mojej roboty. Siadaj natychmiast i rób za mnie.

Rudy cofnął się ogłupiały.

— A kiedy... kiedy ja nie umiem.

— Nie, musisz zrobić moją robotę. Inteligencja niepotrzebna, dobrze, rób ty to samo, co ja. Wtedy zobaczę, że jestem niepotrzebny i pójdę precz.

Rudy odwrócił się z nagłą złością do agitatora.

— To ten szczekacz człowieka zbałamucił. A i wychodzi, że on łże. Bo jakże tak my sami, jak nas nie uczyli...

— Ale was nauczyć mogą, — nie dawał za wygraną student w koszuli.

— Mnie czego się uczyć? Mnie i tak dobrze. W szkole bili, bili, a i tak dobrze pisać nie nauczyli. Nie idzie w moją głowę — i tyle. Nie u każdego gło-

wa jednak. A ty, psi synu, głowy mi więcej nie zawracaj, — pogroził studentowi.

Agitator z miną urażoną wyparował. Rudy uniżenie przeprosił. Przebaczyłem mu.

Ale w powietrzu już był ferment, z którego wytworzył się najzgubniejszy bakcyliusz ludzkości i rozlał się mordem i pożogą na połowę widzialnego świata.

Z nieopisaną odrazą ujrzałem pewnego dnia Kantorowicza, zajeżdżającego przed dom. Przyjąłem go z przymusem nawet nie w mieszkaniu, lecz w biurze przy młynie.

Wypełnił fotel wiklinowy rozłożystym kadłubem i mieszając herbatę z rumem, zagadnął:

— Kiedyż zaczynamy interes z intendenturą?

— Nie wybieram się tymczasem, — odmruknąłem.

Kantorowicz zerwał się.

— Jakto, jakto, a obietnica pana?

— Miałem to zrobić za bankructwo Dorna. Ale to było niepotrzebne, bo on umarł. Był już dawno chory na serce. I pomoc pana nie była potrzebna.

— Dajmy na to, — rzekł Kantorowicz niepewnie, — ale przecie pan chyba się nie cofnie. Złoty interes.

— Nie cofnę się od dostaw dla intendentury. Ale teraz jestem na miejscu Dorna. Będę robił to samo, co on.

Czarne oczki Kantorowicza wyszły naprzód z czer-

wonych powiek, jak oczy raczej. Plasnął w ręce wło-
chate.

— Masz tobie funt, — powiedział po miejscowe-
mu, — wy, Polaki, to nie naród do interesów. Dla
was niema miejsca na świecie. Gdyby nie daj Boże,
dali wam waszą Polskę, przepadłby handel w waszym
kraju. Jedyne szczęście, że to Rosjanie trzymają.

— Ciesz-że się pan tem szczęściem, — odrzuciłem
z wyraźną niechęcią.

Kantorowicz medytował głęboko i kalkulował.

— Na jakich jednak warunkach zgodzi się pan
dostawiać?

— Bez surogatów, za to większą łapówkę inten-
denturze.

— Przecież to głupie! Przepraszam pana, pan jest
człowiek bardzo inteligentny, ale to pan mówi, jak
dziecko! Kto dobrowolnie pieniądze za okno wyrzu-
ca! Zysk będzie dziesięć, piętnaście razy mniejszy!

Zniecierpliwiłem się:

— Ale ja nie będę oszustem — rozumie pan?

Musiał się zgodzić — nie było na razie innego
młyna tej wielkości. Wychodząc, nadymał się i sy-
czał, jak zła żmija.

Wkrótce w Symferopolu zaczął bardzo często uka-
zywać się Aładżałow. Za każdym razem odwiedzał
nas. Wera go przyjmowała z zadowoleniem. Nauczy-
łem się już i ja hamować wybuchy zazdrości i udawać
obojętność, kiedy Wera flirtuje. Zrozumiałem już

i ja potrzebę w niej zabawy i odmiany, bez której by-
łoby jeszcze gorzej. Ale pamiętałem słowa powtórzo-
ne przez Marysię w fatalny dzień, kiedy młyn stanął:
— Kobieta, która rzuci jednego, zawsze się wyko-
leja.

Wracałem z młyna. Posłyszałem śmiech Wery
z okna, przy którym stał przed śmiercią nieszczęśliwy
jej mąż. Cicho podszedłem i zajrzałem.

Do Wery blisko przysunął się Aładżałow. Trzy-
mał jej rękę. Oczy jego paliły się, jak świece jarzą-
ce w czerni bezksiężycowej.

— I kiedyż pani mnie pokocha, i kiedy? — py-
tał gwałtownie.

— A co pan chce, żebym zrobiła z moim drugim
mężem? — śmiała się Wera.

— A rzucić. Za poważny on. Nie dla pani takie
życie. Pani nie pigwa, żeby rość na drzewie w jednym
miejscu. Powiozłbym ja panią do Moskwy, pojechali-
byśmy do „Strelny“, do „Jaru“, gdzie chóry cygań-
skie, na operetkę do Omona! Tam dopiero życie!

Wera wciąż się śmiała, ale nie wycofywała ręki,
którą zaczął pożerać pocałunkami. Wstrętnem, pluga-
wem wydawało mi się każde mlaśnięcie...

Zabrzmiały dalekiem przypomnieniem słowa:

— Straszliwa jest samotność człowieka na ziemi...

Uciekłem z domu. Poszedłem w stronę domku ro-
botniczego. Za nim na brzegu Sałgiru rosły krzaki
tarniny, dereniu i berberysu. Rozchylając gałęzie,

znalazłem wydeptane przejście. Wśród zarośli była altanka utworzona naturalnie z gąszczu przeplecionych wici. Tam, spłowiwały, przegniły od deszczów leżał dywanik pilśniowy, na nim książka. Podniosłem ją: tom Walter Scotta.

Tu chowała się przed nami Lela, zanim wyjechała do Lwowa. Tu serce dziecinne krwawiło się i pękało pod pierwszym, bezlitosnym ciosem życia... Nie mogliśmy jej nigdy odszukać.

Usiadłem tu. Wiatr przeleciał, sypnął na mnie przejrzałym owocem. Przez gałęzie widać było przelewające się po kamieniach srebrzywo rzeki. Cicho, żalobnie szeleściły na brzegu wysokie topole włoskie, straż kolumnowa umarłych tajemnic. Woda płakała cicho wśród południowego przepychu roślinności. Nie cieszyła jej odbijająca się w niej różowa brzoskwinia, ani rozłożyste drzewo granatu. W gęstwinie mocno zapachniał jaśmin. Jak w tamte, dawniejsze noce letnie... Płyniesz i przepływasz... O wodo, wodo...

Wyrwałem się z zadumy. Wszakże tu czyhają południce. Wśród święta natury, wśród oślepiającej jasności schodzą w południe, gdy białe domy z muszlowca zamknęły swe zielone powieki - żaluzje. Schodzą i kładą na duszę biały całun-melancholję.

Na kogo położą — ten już zginie powoli.

Zerwałem się. Nie poddawać się — uciekać, póki czas. Poszedłem w góry, ku owej grocie, gdzie kiedyś byłem z Werą.

Szedłem kamienistą ścieżyną nad urwiskiem. Po lewej stronie miałem nagie wiszary skalne. Pod jednym z nich czerniał ślad ogniska. Wicher nadleciał, rozszerzył piersi potężnym podmuchem, podniósł ramiona do biegu nad przepaścią, do lotu. Ktoś mówił kiedyś do mnie:

I weź na skrzydła, skrzydła twe wichrowe

I nieś mnie w dale, dale szafirowe

I mów mi twoim przepotężnym świstem

O czymś przecutem, nieskończonem, czystym...

Wyzwolić się od życia, w którym wzięłem cudzy kształt... Wrócić do siebie... Wicher w załomach skał grał legendę o przestworach kosmicznych. Na graniach Czatyrdahu rozteńczyły się promienie, że wyglądały zdala, jak kryształowe. Wicher wwiewał we mnie rzeźwość i moc. Stałem się, jak twarda trawa na upłazie.

A oto grot. Przypatrzyłem się jej teraz dopiero. Wejście utworzone było z arkady, zaokrąglającej się na wspornikach dwóch skał. Kto złożył cyklopową dłońią te głazy? Nachyliłem się i podniosłem monolit-krażek wapienny ze spiralnym deseniem, resztkę muszli, którą osadziły tu fale przedwiecznego morza.

Dzika piszczałka czabana ozwała się w górach. Wszedłem do groty. Drgnąłem, ujrawszy kobietę...

Tak, to Dżaryda, odrzuciwszy czadrę, utkwiała we

mnie oczy pełne łez. Dokoła smagłej twarzy zwisały drobne warkoczyki. Piękne i sarnie były skośne oczy. Bezwładnie leżały ręce o paznokciach pomalowanych henną.

Siedziała po turecku pośrodku groty... Uśmiechnęła się do mnie. Nie wydałem się jej groźny — czego się bać dobrego giaura, przyjaciela Achmeta?

— Płaczesz po Achmecie? — zapytałem.

Skinęła głową i dotknęła ręką czoła.

— Mój baszka (głowa) bolit, Surum - Bek duże bić, — zwierzyła się.

Byliśmy oboje samotni, oboje nieszczęśliwi. Usiadłem około niej. Bez oporu oplotłem jej kibić we wzorzystym kabaciku i zaczęłem głaskać po głowie.

Przytuliła się do mnie, jak pisklę zgonione, uci-chła...

Stałem się daleki i obcy we własnym domu. Wojna przyszła, jak wyzwolenie. Powołano mnie do wojska. Kiedy armja rosyjska zaczęła się rozpadać, przyjechałem na Krym. Wiedziałem już, co się święci.

U Wery zastałem Aładżałowa i po szczególnym polysku oczu i wyrazie dosytu poznałem, że jest szczęśliwy. Namawiałem Werę, żeby prędzej likwidowała wszystkie interesa i wyjechała przez Rumunję do Leli na którymś z okrętów cudzoziemskich, które jeszcze zawijały do Sebastopola lub Odesy. Nie chciała nawet słyszeć o tem.

— Teraz tu można się dorobić, jak nigdy, — mówiła, — produkta żywności są takie drogie.

— Kto ciebie tego uczy?

— Aładżałow.

— Kłamiesz. Uczy ciebie Kantorowicz. On się wywinie, jak węgorz, a ty zginiesz.

— Ty prędzej zginiesz, bijąc się za twoją urojoną Polskę, ja zbiorę miljony. Mam tu ziemię, będę pilnowała swego dobra. Twoja Polska będzie na księżycu, a młyn nad Sałgirem jak stoi, tak będzie stał.

Byłem wraz z Cetnowiczem prawnym opiekunem Leli. Wycofałem z młyna i innych interesów wszystkie pieniądze jej i moje. Musiały wrócić do Polski. Przysięgłem to pamięci Dorna. Pożegnałem Werę. Teraz, kiedy nie mogła odczuć, że nadchodzi czas dla Polski, stała mi się bardziej obca, niż kiedykolwiek.

Drogą okrężną trafiłem do Małopolski. Teraz przyszedł czas najcięższy.

Wśród nieopisanego bałaganu tworzyła się i powstawała Polska I oto pewnego dnia znalazłem się w małej mieścinie niedaleko od Zaleszczyk, jako dowódca 108 żołnierzy z jednym karabinem maszynowym. Byłem tu jedyną władzą cywilną i wojskową.

Wszedłem niespodzianie od dworca kolejowego. Banda bolszewicka, która tu grasowała, wyprysła momentalnie na widok maciejówek z orzełkiem. Z wielką swadą, chociaż wewnątrz nie bardzo pewny się

bie, zajęłem ratusz schludnej miejsciny, gdzie białe domki z wysokimi dachami tonęły w zieleni.

Połączyłem się telefonicznie z Lwowem.

— Hallo, porucznik Niementowicz. Zajęłem miasteczko X. 108 ludzi, jeden karabin maszynowy. Skąd żołd i wikt?

Otrzymałem odpowiedź, żebym z fasunkiem radził sobie, jak umiem, a po żołd mogę posyłać do Lwowa.

Posłałem po radę miejską i miejscowych notabli. Dorosłych mężczyzn-Polaków już nie było. Pochłoneła wojna. Stawili się prawie wyłącznie starozakonni — atlasowe chałaty, białe pończochy, czapki lisie, a z pod czapek wdzięcznie się zwijają w grajczarki siwe i czarne pejsy.

Przedstawiłem im spis produktów, potrzebnych codziennie dla mego oddziału. Zobowiązali się dostarczać i istotnie dostarczali sumiennie. A to z tego powodu, że kiedy zaraz pierwszego dnia zabrakło paczki pieprzu, kilkunastu deka co prawda, wsadziłem rabina do paki. Brak względności, powiadasz? A ja ci powiadam, szczerze saperski, coś się babrał podczas wojny tylko przyczółkami mostowymi, że gdybym tego nie uczynił, jutro zabrakło by mi mąki, pojutrze — słoniny, a potem ludzie stale byliby głodni. Cóż chcesz, wojna!

Mój sierżant zaczął w przyległym pokoju „amcić“. Polegało jego urzędowanie między innymi na wyda-

waniu przepustek. Oczywiście najtłumniej się cisnęła klasa handlowa miasteczka.

— A czemu to szanowny kupiec nie w wojsku? — zapytywał sierżant z nieopisanym sarkazmem, — ma pan papier, że pan obcej narodowości? Tu urodzony, tu rodzina osiedlona od niepamiętnych czasów, tu handlował, tu obdzierał — a jak bić się o niepodległość — to obcej narodowości? Otóż widzi kupiec, kolej polska jest przede wszystkim dla polskich żołnierzy, potem — dla ich rodzin, potem — dla obywateli-Polaków, a jeżeli będzie miejsce — to dla ludzi „obcej narodowości“. Zwrot w tył — marsz!

Starszy żołnierz pomagał kupcowi do prędkiej ewakuacji pokoju.

Żachnęłeś się, że tolerowałem takie procedury. Zrozum-że żołnierzy, stykających się z tą rasą pasożytów, niepewnych pod względem politycznym, raczej wrogich, tuczających się nieprawemitemi zyskami wojennymi i dekujących się w miarę możliwości przed wszystkimi armjami z wyjątkiem czerwonej, gdzie stały przed nimi otworem wszystkie szarże i intendentury. Wyimagano od nas zbyt wiele tolerancji i cierpliwości, a myśmy wobec zagranicy nie mieli charakteru Rumunów, którzy sobie nie dali narzucić żadnych praw o mniejszościach. „Zdradliwa Wołosza“ nie miała miękkiego karczku dyplomacji polskiej, gdzie było tylu ludzi, wytresowanych na trójgugłowości.

Nieraz zdarzało się nam naprędce składać sąd wojenny. Pewnego razu sierżant mój melduje od rana:

— Panie poruczniku, melduję posłusznie, aresztowałem wysłannika bolszewickiego.

— Dawajcie mi go tu, — powiadam.

Wprowadza dwóch żołnierzy opasy, trzęsący się kadłub. Czarne oczki wyskoczyły z czerwonych powiek od proga aż ku mnie.

Kantorowicz...

Zobaczywszy mnie, stał się w pierwszej chwili sino-blady. Nie widziałem na żadnej twarzy w życiu takiego przerażenia. Ale wnet potem zaczął się uśmiechać i szedł ku mnie z ręką wyciągniętą, mówiąc charakterliwie:

— A, pan Niementowicz... Jaki ja rady pana spotkać. Nu, ja przywożę ukłony od żony pana. Szanowny pan mnie obroni — robią mi tu nieprzyjemności.

— Nie podałem mu ręki, ale nie mogłem się powstrzymać od zapytania:

— To ona żyje?

— żyje. Bolszewicy odebrali jej młyn, ale został handel w mieście, złoto jeszcze ma. żyje.

— Widział pan przed wyjazdem?

— Widziałem. Dla panny Leli trochę złotych rzeczy wiozę.

— Gdzież są?

— Odebrali.

Rozpatrzyłem rzeczy, zabrane Kantorowiczowi. Z papierów wynikało jasno, że był emisariuszem bolszewickim. Poznałem klejnoty, które rzekomo wioził dla Leli. Były to podarunki moje, znane Leli. Lela nigdy nie byłaby ich przyjęła i nie posyłałaby ich moja żona.

— Te klejnoty pochodzą z grabieży, — powiedziałem.

— Jakto, jakto, czyż pan ich nie poznaje?!

— Jeszczeby też... Sam je kupowałem.

— To też żona pana płakała, oddając: — Podarunki mojego męża, te ostatnie chowałam, ale może dziecko tam głodne...

Wyglądało prawdopodobnie. Wojna zatarła w ludziach wiele drażliwości.

— Pan każe mnie zwolnić, — odezwał się Kantorowicz niespokojnie, — klejnoty może już pan sam odda pannie Leli, czy zatrzyma, jeżeli to przez pana kupowane...

I dodał prędko:

— Tamte złote ruble carskie to ja też wiozłem dla panny Leli. Może pan zabrać.

— Nie próbuj mnie pan przekupić, — powiedziałem ostro, — lepiej proszę powiedzieć, jak pan potrafił przez tyle lat, stykając się z Polakami w Symferopolu, ukryć, że pan mówi po polsku i że pan tutejszy, jak widzę z papierów?

— O, proszę pana dobrodzieja, w Rosji za pie-

niądze wszystko kupi, nawet poddaństwo rosyjskie. Ale zachowałem stare papiery i teraz znowu pociągnęło mnie do ojczyzny. Z bolszewikami spokojny, handlujący człowiek nie wytrzyma, a w rewkomie siedzieć ja nie mam zdrowia. Uj, tam tyle zmartwienia, tyle strachu! A że ja nie mówił po polsku, tak, żeby nie przypominali, że ja był austriacki poddany.

— Albo żeby podsłuchiwać, co Polacy między sobą mówili?

Kantorowicz zaśmiał się nieprzyjemnie.

— Nu, pan dobrodziej głowę ma! Ja zawsze mówił, co pan dobrodziej złoty łeb ma, co to z nim można zrobić same czyste miliony!

— Czy to znajomy pana porucznika, ten zdrajca? — pytał ze zgorzeleniem sierżant, — przecież przy nim znaleźliśmy dowody nie do obalenia. On ma tu ważną misję przeciwko nam.

— Ponieważ mam z tym panem liczne porachunki osobiste, więc będzie to zakrawało na zemstę, jeżeli go skazę.

— Wygląda, przeciwnie, że pan ma dla niego dług wdzięczności...

— Niech się to nazywa długiem wdzięczności. Sądźcie go, panowie. Jak osądzicie, tak będzie.

Zawołałem jeszcze podporucznika i kaprała. Usiedli przy stole. Kiedy opuszczałem pokój, Kantorowicz z dzikim wrzaskiem przerażenia chwycił mnie za mundur.

— Panie Niementowicz, panie Niementowicz, nie opuszczaj mnie pan, ratuj, oni gotowi mi zrobić co złego! Tyle my z panem handlowali, tyle pan przeze mnie zarobił...

— Na potępienie duszy mojej zarobiłem, — krzyknęłam, wyrwawszy się, — przebaczyłbym za swoje, ale za Polskę...

Wyszedłem. Sądziło krótko i podporucznik przyniósł mi wyrok do podpisania. Na rozstrzelanie.

— Ten gad bolszewicki chce jeszcze panu porucznikowi coś powiedzieć, — rzekł podporucznik, zabierając podpisany wyrok, — może przed śmiercią wyśpiewa jaką prawdę o rodzinie pana porucznika. Proszę lepiej posłuchać.

Wróciłem do salki, gdzie odbywał się sąd. Kantorowicz miał wyraz złej złości, która otrzymała cios obcasa i chce ukłuć przed ostatecznym rozstrzelaniem.

— Mści się pan, że podesłałem do żony pańskiej Aładżałowa, — zasyczał, — dobrze więc. Niech pan wie, że mści się pan nie napróżno. To ja byłem w rewkomie, i ja sądziłem żonę pańską i Aładżałowa. Oboje są rozstrzelani. Młyn nad Sałgirem jest mój.

Wściekłość i szkodna uciecha wykrzywiły jego twarz w sposób zaiste szatański. Chociaż bardzo już zubożałem dla Wery, zrobiło mi się niedobrze. Sierżant podtrzymał mnie, posadził, przyniósł wody. Tymczasem Kantorowicza wyprowadzono. Wkrótce

salwa na rynku oznajmiła, że nie będzie truła polskiej ziemi.

W parę lat potem, kiedy zaczęli wracać repatrjanci, spotkałem Deszkego, który pociągnął raczej za białogwardzistami rosyjskimi na emigrację, niż wrócił do kraju. Jego nie uleczy nawet polskie powietrze. Ten opowiedział mi o ostatnich czasach naszej kolonii. Interesami Wery zaczął zajmować się Aladżałow i wystąpił ze spółki z Kantorowiczem. Wtedy Kantorowicz, który faktycznie był w rewkomie, urządził prowokację, by ich oskarżyć o kontrrewolucję. Oboje zostali rozstrzelani. Kantorowicz zagarnął młyn.

W ostatnich chwilach życia Wera musiała żałować, że nie wróciła do Polski, która jej zawsze wydawała się mała i biedna. Polska jest, rośnie i krzepnie, a młyn nad Sałgiem rozpada się w gruzy.

Bowiem Kantorowicz przeholował w robieniu fortuny. Paskując mąką, tak oburzył ludność, że musiało go skazać na śmierć. Ale ułaskawiono go z warunkiem, że pójdzie do Polski wykonać pewne zlecenie. Przedostał się z łatwością przez granicę. Żydek żydka łatwo wszędzie przeprowadzi — spełnił swoją niecną misję i wracał po laury i zaszczyty, kiedy go wytropił mój sierżant, mający wyjątkowy węch do takich typów. Po skazaniu przez bolszewików jego młyn został skonfiskowany i pod zarządem sowieckim oczywiście, popadł w zupełną ruinę. Dziś mieszkają tam duże czarne węże i puszczyki.

Teraz już historja moja jest całkiem zaokrąglona, — zakończył pułkownik.

— Jeszcze powiedz, co się stało z Cetnowiczami, z Lelą i Marysią, — zapytał inżynier S.

— Cetnowicz podpadał coraz bardziej pod wpływ swojej szwaczki, oddawał jej wszystko, w końcu wyzbył się na jej korzyść nawet kapitału, zbieranego przez lata całe, bo wmówiła mu, że żona go na starość wypędzi i rozda wszystko Deszkemu i swoim ubożkom. Kiedy pałata została rozwiązana przez bolszewików, Cetnowiczowie popadali w coraz gorszą nędzę. Barbara cierpiała z nimi, w końcu głód przemógł i odešla na służbę do komisarza bolszewickiego. Cetnowiczów opuchniętych z głodu przewieziono do przytułku bolszewickiego. A szwaczka żyła w dostatku. Czasem przychodziła do przytułku i przynosiła Cetnowiczom trochę kaszy nieokraszonej.

— I Cetnowiczowa jadła?

— Mój drogi, czy ty wiesz, co to głód? Podczas bolszewizmu „świat wyszedł z formy“, nie dziw się niczemu. Zresztą oboje umarli, nim zaczęła się repatrjacja. Lela poległa na ulicach Lwowa. Nieodrodna córka Dorna. Postawiłem jej pomnik.

— Ale, Jerzy, — zawołał nagle inżynier S. zżywieniem, — przecież wywiozłeś z Krymu te duże pieniądze. Gdzież one są? Bo jeżeliś dotąd nie ulokował, zaczynamy na kresach śliczne przedsiębiorstwo. Będzie miało duże znaczenie społeczne.

Pułkownik spuścił oczy.

— Tych pieniędzy nie mam wcale. Wróciły całkowicie do Polski — z początku moje, a po śmierci Leli — jej część.

— A jeszcze Marysia?

Podchodziła do nich ładna, energiczna pielęgniar-
ka, pod której opieką był Niementowicz. Niementowicz wstał śpiesznie, twarz jego stała się uciszona i rozradowana.

— Marysia była tym dobrym duchem, który pomógł mi odpokutować i odrodzić się, — rzekł z głębokim wzruszeniem. — Oto ona nadchodzi — narzeczona moja, Marysia Cetnowiczówna.

Inżynier S. stał z uśmiechem, gotowy do powitania.

— Domyślałem się tego oddawna, — powiedział.

KONIEC.



155697